

Rozdział IV

Rana na gardle przypomniła o sobie atakiem ostrego, suchego kaszlu. Na moment wytrącił on Twilight z równowagi, po chwili jednak podniosła się z powrotem na obrany wcześniej pułap. Przeklęła w myślach. Pył, którego nawdychała się za dnia, nie pozwolił ranie szybko się zagoić. Musiała zacząć przyzwyczajać się do bólu — z pewnością nie opuści jej szybko.

Canterlot był tuż-tuż. Od godziny zbliżał się do niej nieubłagane, rosnąc i rosnąc ponad miarę. Nie był już tylko punktem migającym na horyzoncie; teraz zamek górował nad nią całą swą potęgą. Aż dziw, że miasto nie zawało się do tej pory pod własnym ciężarem.

Twilight podsumowała w myślach, co czeka ją podczas rozmowy z Celestią. Na pewno nie będzie prosta i przyjemna. Nie do pomyślenia było, żeby Celestia ot tak we wszystko uwierzyła — dotąd jedynie Starlight wzięła słowa Twilight na poważnie; tymczasem nawet ona miała co do nich sporo wątpliwości.

Czy powinna wspominać o wszystkim? Może lepiej będzie pominąć szczegóły i jedynie dać znać o zagrożeniu... albo w ogóle od razu przejść do sprawy gryfów i Jesterów... To wydawało jej się być najbardziej sensownym wyjściem. Jeśli Celestia przejęłaby się nadchodzącą wojną, być może dałaby też wiarę w mrocznego kucyka, który prześladował Twilight od kilku dni. Cóż, nie dowie się tego, póki nie sprawdzi.

Z tymi myślami w głowie skierowała się na najwyższą wieżę pałacu, w której to spać powinna Celestia. Usłyszała ciche głosy poddanych w dole, wskazujących ją kopytami. Zaskakująco dużo, jak na tę godzinę. Dało się to prosto wyjaśnić — dopiero nocą powietrze stawało się chłodne i przyjemne. Kucyki spacerowały po ulicach, odpoczywając od skwaru dnia, jaki zgotowały im pegazy z Cloudsdale. Właśnie... tylko co za tym stało?

Gdzieś spod pałacowych wrót dobiegło do niej ciche salutowanie i pomruki gwardzystów. W jednej chwili Twilight poczuła się znacznie pewniej niż dotychczas. Bardziej z przyzwyczajenia, niż o tym myśląc, minęła pozostałe wieże zamku i podeszła do lądowania na balkonie Celestii. Drzwi komnaty były zamknięte; z pewnością panowała tam straszliwa duchota. Czyżby księżniczce to nie przeszkadzało?

Twilight podeszła do okna i zajrzała do środka. Dziwne, Celestii nigdzie nie było. Może nie skończyła jeszcze jakiegoś ważnego spotkania? Albo może zasnęła gdzieś w korytarzu po drodze do sypialni?

Ziew. Zmęczenie dało o sobie znać. Twilight nie sypiała ostatnio zbyt dobrze, w dodatku całe dni przeżywała w stresie. Miała ochotę natychmiast położyć się spać, pomimo wszystkich obowiązków, jakie na niej ciążyły. Gdzieś tu musiało być wolne łóżko...

Zerwała się z balkonu i spłynęła spokojnie w powietrzu wprost przed główne drzwi sali tronowej. Może tutaj zastanie Celestię?

— Twilight! — krzyknęła Luna, wychodząc z jednej z zacienionych alejek zamkowego parku. — Co tu porabiasz o tej porze?

— O, dobry wieczór... — Twilight zawiesiła wypowiedź w próżni. Nie potrafiła zdecydować: czy Luna powinna usłyszeć o zaistniałej sytuacji? Czy też informowanie jej o wszystkim wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem? Kiedyś odpowiedź na to pytanie byłaby prosta; teraz postawiony przed Twilight wybór wiązał się z ogromnymi wątpliwościami. — Szukam Celestii, chciałam z nią porozmawiać — powiedziała w końcu. — Wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

— Na pewno nie w Canterlot — zaśmiała się Luna. — Na kilka dni wyjechała do Baltimore. Chodzi o coś ważnego? Jeśli tak, to wiesz, że jestem do twoich usług — dodała.

Twilight zacisnęła zęby i wciągnęła powietrze z sykiem. Tak, chodziło o coś bardzo ważnego, ale czy powinna mówić o tym Lunie? Lunie, która zaledwie kilka lat wcześniej sama stanowiła dla Equestrii śmiertelne zagrożenie? Nie, to nie wchodziło w grę. Twilight nie mogła ufać już nawet najbliższemu przyjacielowi. Jeśli nie będzie mogła porozmawiać z Celestią, nie powinna robić tego z nikim.

— Kiedy wróci? Dawno wyleciała? — zapytała, ignorując pytanie zadane przez Lunę.

— Dwa dni temu. Powinna wkrótce wrócić, ale sama wiesz najlepiej, jak to jest z tymi festiwalami. Tu coś wyskoczy, tu jakieś zamówienia się nie zgadzają, tu się okazuje, że nie ma na coś pozwolenia...

Luna uśmiechnęła się życzliwie. Twilight przypomniawszy sobie, jakie wrażenie księżniczka nocy sprawiała zaraz po swojej przemianie. Przeszła naprawdę długą drogę. Co nie zmieniało niestety faktu, że przez ponad tysiąc lat nie była kucykiem — była potworem. Jeśli po tamtym okresie w sercu Luny pozostała chociażby odrobina zła, w jej obecności bezwzględnie należało zachować bezpieczny dystans i ostrożność. A skąd można było wiedzieć, czy pozostała?

— Twilight... nie wiem, co cię trapi, ale pamiętaj, że w razie czego, śmiało możesz mi zaufać. Gdybyś mnie szukała, jestem w pracy. To znaczy w sypialni. — Luna uśmiechnęła się dowcipnie i zniknęła w drzwiach pałacu, zostawiając ją samą.

Twilight przeklęła w myślach. Wyglądało na to, że jeśli chce porozmawiać z Celestią, będzie musiała albo poczekać na nią w pałacu, albo wylecieć jej na spotkanie do Baltimore. Czekanie nie wchodziło w grę, zbyt dużo czasu mogłaby stracić. Jechać na wybrzeże też nie mogła; jeśli Equestria miała być bezpieczna, Twilight musiała trzymać rękę na pulsie — to znaczy jak najbliżej Savagera.

Wreszcie postanowiła, że zaczeka przynajmniej do rana. Jeśli Celestia nadal się nie zjawi, Twilight będzie musiała własnoręcznie zadbać o dobro kraju. Pytanie brzmiało: kiedy Celestia zamierza wrócić? W umyśle Twilight brzęczały słowa Luny; wspominała coś o jakimś festiwalu. Była jednak na tyle zmęczona, że za żadne skarby nie potrafiła skojarzyć, o jaki festiwal mogło chodzić księżniczce.

Przypomniawszy sobie rozkaz, jaki wydała Brave'owi zaraz przed odlotem. Miał wybrać dla niej najbardziej zaufanych podwładnych, ale nie zdążyła przekazać mu, co powinien zrobić jako następne. Nie mogła tego tak pozostawić. Postanowiła, że wyśle mu list z

poleceniami, a sama przenocuje w Canterlot. Jeśli była szansa, że rano Celestia pojawi się w pałacu, nie należało jej zmarnować.

Rozejrzała się dookoła, szukając swojej wieży sypialnej. Była tam, nieopodal, przysłonięta rozlicznymi pałacowymi tarasami. Twilight przygotowała się do lotu i wzbiła się w powietrze. Po chwili znajdowała się już przed drzwiami do swojej sypialni. Szczęśliwie nie była w tej chwili nikomu wynajęta. Wszystko leżało na swoim miejscu dokładnie tak, jak powinno. Idealnie.

Twilight podeszła do biurka i wysunęła szufladę. Tutaj również bez zmian. Papier, pióra i atrament, wszystko czekało tu tylko na nią. Zabrała jedną kartkę i przygotowała pióro do pisania. Teraz pozostało jej tylko ułożyć w myślach to, co chciała przekazać kapitanowi.

Ale co chciała mu przekazać?

Brave powinien jak najszybciej zapoznać podwładnych z sytuacją. Powinien też poznać jej obawy. Jeśli będzie dokładnie wiedział, co należy zrobić, sam znajdzie na to najlepszy sposób. Tego Twilight była pewna.

Kilkanaście minut później miała już przed sobą gotowy list, pozostało go tylko wysłać. Nie musiała pieczętować, Spike zadba o to, żeby list trafił tam, gdzie powinien.

Opuściła sypialnię i zleciała z powrotem na główny dziedziniec. Jeśli pamięć jej nie myliła, gdzieś w pobliżu sali tronowej swój kantorek posiadał zamkowy księgowy. Jako jeden z nielicznych w całej Equestrii potrafił przysyłać listy podobnie, jak czynił to Spike. To właśnie tej umiejętności zawdzięczał swoją pozycję blisko samej księżniczki.

Twilight weszła pewnym krokiem do pałacu, minęła gwardzistów, którzy zasalutowali jej ponownie — tym razem poprawnie — i chyłkiem, jak gdyby chciała ukryć się przed niewidzialnym wrogiem, wsunęła się do głównego holu. Nie myliła się, nieopodal wrót do sali tronowej zauważyła mniejsze drzwiczki, ku którym skierowała swe kroki. Otwierając się, drzwi cicho zaskrzypiały.

— Czego wy znowu chcecie o tej porze?! Banda patałachów... Ile razy mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać, kiedy liczę... — dobiegł ze środka zachrypnięty, poirytowany głos.

Okazało się, że pomimo późnej już pory księgowy nie spał. Kiedy Twilight weszła do środka, siedział przy dość wąskim stoliku zapałszy w rozrzucone po nim, liczne dokumenty. Co prawda pokój oświetlało tylko kilka świec, ale brodaty kucyk zdawał się doskonale w takich warunkach sobie radzić.

— Och, przepraszam Waszą Wysokość... — Na widok księżniczki brodacze zerwał się z fotela, i nisko się uklonił, stękając przy tym z bólu. — Co Waszą Wysokość sprowadza o tak późnej porze? Wasza Wysokość wybaczy, sama rozumie...

— Mam list do wysłania — pospiesznie odpowiedziała Twilight, wyciągając list w jego kierunku. — Pilny. To ty się tym zajmujesz, prawda?

— Oczywiście, Wasza Wysokość, już się za to zabieram. — Księgowy z uniżeniem chwycił kopytem list i odłożył go na stolik. Rzucił okiem na małą aparaturę, stojącą na półce obok. Cmoknął. — Trzeba dolać — mruknął do siebie.

Twilight patrzyła spokojnie, jak kucyk wyjmuje z szafki dzban pełny jakiejś tajemniczej cieczy. Nie miała pojęcia, czym jest, ale po chwili dostrzegła, że w świetle świecy wydaje się być żółta. Oliwa?

— Celestio... znaczy uff, ile to waży — westchnął ciężko kucyk, unosząc dzban w górę. Podszedł do aparatury i zaczął przelewać oliwę do zbiornika na dole. — Do Spike'a, jak mniemam?

— Tak, do Spike'a — odpowiedziała Twilight, nie patrząc już na księgowego, ale na dokumenty leżące na stole. Czego mogły dotyczyć? — Wiesz może, co księżniczka Celestia robi w Baltimore? — spytała.

— Jej Wysokość dogląda przygotowań do Letniego Święta Słońca — odpowiedział kucyk, odnosząc dzban na jego miejsce w szafie. — To już za niecały miesiąc.

Twilight pomyślała, że to by doskonale tłumaczyło, dlaczego Celestia nie uprzedziła, kiedy zamierza wrócić. Z doświadczenia wiedziała, że przygotowania do Święta Słońca potrafią przyprawić o niemały zawrót głowy, nie mówiąc o ich wrodzonej tendencji do sprawiania przykrych niespodzianek. Tym razem główne uroczystości miały odbyć się w Baltimore — z pewnością będą więc huczne i wystawne ponad miarę.

Baltimore. Miejsce słynące z doskonałej jakości pereł i bursztynu. Pozwoliły się miastu wzbogacić tak, że pod względem dostojności i majestatu mogłoby konkurować nawet z Canterlot... gdyby nie port.

Port w Baltimore był najważniejszym equestriańskim portem — jednocześnie największym na całym wschodnim morzu. To tutaj zawijała znaczna większość statków z krain wysuniętych dalej na południe i wschód. W przeciwieństwie do Manehattanu, do Baltimore importowano towary nie tylko do lokalnego zużycia. Miasto było stacją tranzytową otwierającą drogę do całej Equestrii.

Właśnie to powodowało, że Baltimore nie było tak piękne, jak można by sobie tego życzyć. Bogate osiedla przemieniły się powoli w dzielnice przemysłowe, a wokół portu, niczym dzika narośl, wyrosła sieć ogromnych magazynów. A czego w nich nie było... Zboża, ryby, materiały budowlane, kamienie szlachetne, tkaniny różnej maści... A wszystko to przepływało tylko przez miasto, aby dzień później ustąpić miejsca kolejnym towarom, jeszcze droższym i bardziej kunsztownym od nich.

O dziwo, mieszkańcom miasta udało się utrzymać dzielnicę portową we względnym porządku, co było niewątpliwie wielkim osiągnięciem.

Twilight wróciła myślami do Letniego Święta Słońca. Przypomniła sobie, w jaki sposób wybierane są miasta, gdzie mają odbywać się główne uroczystości. Miasta co roku zgłaszają chęć organizacji święta do Canterlot, gdzie specjalna, wyznaczona do tego

komisja ocenia ich możliwości logistyczne. W tym roku wybór padł właśnie na Baltimore. Zorganizowane tam święto z pewnością na długo zostanie kucykom w pamięci.

Rozmyślenia przerwało jej pstrykanie dobiegające od strony aparatury. Urządzenie było najwyraźniej sporej wielkości palnikiem. Stojący obok niego księgowy wciskał raz po raz okrągły przycisk, aż do momentu, gdy z palnika buchnął wielki, żółtawy płomień.

— Wasza Wysokość raczyłaby podać ów list — odezwał się kucyk, z trudem przytrzymując kopyto na przycisku.

Twilight kiwnęła głową i podeszła do stolika. W oczy rzuciły jej się dokumenty, które teraz, w blasku płomienia, nagle stały się czytelne. Głównie rachunki. Jakies mniej lub bardziej ciekawe wiadomości. Zwróciła uwagę na zestaw, który księgowy przeglądał, kiedy weszła do kantorka.

“Kapitan Meetle donosi, że przechwycono transport z nielegalnej hodowli Paraspitów pod Fillydelphią. W wozie zamaskowanych było dwanaście skrzyń pełnych insektów. Hodowla została zabezpieczona, a skrzynie umieszczone w bezpiecznym...”

Nieistotne bzdety. Equestria miała poważniejsze zmartwienia.

Twilight chwyciła list i podała go księgowemu. Ten zaś przyjął go ostrożnie, drugim kopytem podkręcając ogień na palniku.

— Może chociaż ty wiesz, kiedy księżniczka wraca do Canterlot? — spytała go z nadzieją.

Kucyk włożył list w płomień i poczekał, aż zajmie się ogniem.

— Jej Wysokość nie określiła się co do daty swojego, to jest, Jej Wysokości, powrotu — odpowiedział. Widząc, że zwój zaczyna się tlić, wziął głęboki wdech i chuchnął potężnie. List momentalnie obrócił się w popiół i rozplynał w powietrzu, zostawiając za sobą tylko kilka nadpalonych skrawków papieru.

— Trudno — odpowiedziała z obojętną miną Twilight. — Dziękuję za pomoc.

* * *

Poza Neetem było ich tam czterech — kapitan oraz trzech poruczników. Brave pojawił się w barakach jeszcze przed świtem, zwołał ich czwórkę i zabrał tutaj — do sali tronowej. To tutaj znajdowała się Znaczkowa Mapa, która najlepiej ze wszystkich oddawała rzeczywistą topografię Equestrii.

Neet zastanawiał się, co on tutaj robi. Najniższy stopniem, był tylko podporucznikiem. Może w mniemaniu kapitana zasługiwał już na awans? Właściwie... nie miałby nic przeciwko

takiemu obrotowi wydarzeń. Pozostawało mu tylko czekać z ciekawością na słowa Brave'a. Nie musiał czekać długo.

— Słuchajcie, panowie — zaczął kapitan. — Dzisiejszej nocy otrzymałem od księżniczki Twilight polecenie, aby wybrać spośród swoich podwładnych kilku najbardziej zaufanych i uzdolnionych. Jak się pewnie domyślacie, możecie czuć się tymi wyróżnionymi.

Brave mówił poważnym, ale ciepłym głosem, który jego podwładni nauczyli się już rozpoznawać jako zamiennik uśmiechu. Kadetom często brakowało go na mordce kapitana, ale zazwyczaj już parę tygodni służby wystarczało, żeby rozeznąć się w sytuacji. Brave nie był wcale pośepnym gburą. Nie lubił po prostu zbyt okazywać emocji.

Neet popatrzył po stojących wokół stołu żołnierzach. Z tego, co pamiętał, każdy z nich był w jakimś stopniu zasłużony dla Equestrii. W dodatku każdy z nich był porucznikiem, mieli więc sporo doświadczenia w dowodzeniu innymi kucykami.

Porucznik Swift Sentinel — lata na wysokich stanowiskach w osobistej gwardii Celestii. Porucznik Rear Outer — wieloletnia służba, weteran Wielkiej Wojny na południu. Porucznik Feralwater — niegdyś kapitan okrętu, później jeden z głównych strategów equestriańskiej armii.

I on. Podporucznik, z ledwie kilkoma laty doświadczenia. Żadnych szczególnych osiągnięć. Co on tutaj robił? Czyżby kapitan widział w nim potencjał? Czyżby chciał pozwolić mu rozwinąć skrzydła? Przyjemna myśl.

— Pozwolicie, że wprowadzę was teraz w sytuację — powiedział Brave. Pozostali żołnierze milczeli w oczekiwaniu. Neet również przestał rozmyślać i skupił się na słowach kapitana. Czuć było, że sprawa jest poważna — nie było więc miejsca na rozluźnienie. Kto wie, może od tej chwili zależała jego przyszłość w gwardii?

— Jak dobrze wiecie, w ostatnich dniach Jej Wysokość udała się pod moją eskortą do Fuzzy Caverns, do samego Glow Town. — Brave, mówiąc, wskazał kopytem odpowiednie miejsce na mapie. — Standardowa misja przyjaźni, wiecie, jedna z takich, na których już nieraz bywała.

Zebrani pokiwali głowami w zadumie. Póki co nic, co powiedział kapitan, nie zapowiadało jakiegoś rodzaju niespodzianki. Do czego więc zmierzał? Na odpowiedź nie kazał im długo czekać:

— Nie ulega wątpliwości, że na miejscu zawiązano spisek, który miał na celu sprzedaż jaskiń. I, teraz słuchajcie uważnie: sprzedaż nie komu innemu niż — uwaga — gryfom.

Neet mocno się zaniepokoił. Podejrzewał, że nie on jedyny, jednakże pozostali mieli kamienne mordki. Pewnie najzwyczajniej w świecie kryli emocje, tak jak zresztą i on to robił.

Gryfy? Czego gryfy mogły szukać tak daleko na południu? I w dodatku pod ziemią... Przecież to się kupy nie trzymało. Gdyby nie usłyszał tego od kapitana, podczas niespodziewanej narady, prawdopodobnie wyśmiałyby tę informację, razem z przekazującym

ją kucykiem. Los jednak najwyraźniej chciał inaczej. Cóż, nie jemu o tym myśleć. Był tylko prostym podporucznikiem.

— Na szczęście dla nas wszystkich i dla całej Equestrii, księżniczka Twilight wykryła spisek na czas i zażegnała niebezpieczeństwo. Zauważyliście pewnie, że wczorajszego wieczora z baraków zniknął oddział Bailiffa. — Kapitan poczekał, aż żołnierze potwierdzą, i kontynuował. — Wysłałem go do Fuzzy Caverns. Ma dokonać egzekucji na gubernatorze Jesterze Lordly'm, który to stał za całym spiskiem.

Porucznicy wymienili się baczными spojrzeniami.

— Poważna sprawa — zaniepokoił się porucznik Rear Outer. Pozostali pokiwali głowami w milczeniu. — Jester był swojego czasu głównym źródłem zaopatrzenia południowej...

— Ale to, co próbował zrobić, a co, co gorsza, po części mu się udało, wymazuje jego wszelkie poprzednie zasługi.

Żołnierze patrzyli z niecierpliwością na kapitana i oczekiwali dalszych słów. W powietrzu zawisło pytanie, którego nie wypadało im zadawać. Co takiego uczynił Jester?

Na szczęście Brave sam do tego zmierzał:

— Fuzzy Caverns jest pełne gryfów. Od kilku lat nieustannie kopią minerały, bez naszej zgody i wiedzy. Dotychczas stali poza prawem, ale mało brakowało, a wszystko stałoby się formalne. — Kapitan zrobił krótką przerwę, jakby chciał ułożyć w myślach, co chce powiedzieć dalej. — Gryfy też, co w ich przypadku aż dziwne, nie działają bez żadnego planu. Za wszystkim stoi jeden z ich ministrów, Proud Savager. Powinniście kojarzyć.

Neet przypomniał sobie, co działo się w Cukrowym Kąciku zaledwie dwa dni wcześniej. Miał ogromne szczęście, że udało mu się opuścić cukiernię, nim doszło do największych tragedii.

Proud Savager. Dumnie brzmiące nazwisko. Był ministrem obrony Griffonstone; majorem, który według gryfońskich zwyczajów odpowiadał tylko przed królem, a obecnie przed radą ministrów. Co da mu jednak wynik, który osiągnął? Marne kilkanaście procent...

— Savager czerpie z jaskiń ogromne zyski. Nie wiemy, na co te pieniądze przeznacza. Mam za to pewne podejrzenia, co do których jestem pewien, że Jej Wysokość myśli podobnie...

Żołnierze zamarli w oczekiwaniu. Słowa kapitana brzmiały groźnie. Czegoś jednak brakowało, jakiegoś spójnika łączącego ich, żołnierzy, z Proudem. Do czego gryf mógł wykorzystywać pieniądze? Dlaczego mieliby się tym przejmować?

— Jak wiecie, pociąg, którym jechaliśmy z Fuzzy Caverns, uległ groźnemu wypadkowi. Według techników tylko cud uratował nas przed śmiercią. A odpowiedzialnymi za ten wypadek były... No, zgadnijcie, kto. Gryfy.

Szmer. Wpajana od najmłodszych lat niechęć do gryfów odezwała się wśród zebranych i od razu przywołała na ich mordkach gniew połączony z obrzydzeniem.

Dla Neeta wszystko powoli nabierało sensu. Skoro gryfy starały się doprowadzić księżniczkę Twilight do śmierci, oznaczało to...

— Teraz rozumiecie? — zapytał Brave, upewniając go w jego toku rozumowania. — Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Savager chce wojny.

* * *

Świergot ptaków obudził Proudą. Miał już w zwyczaju wstawać o wczesnej porze, hałasujące ptactwo jedynie mu w tym pomogło.

Rozejrzał się po otoczeniu, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Było elegancko i wytwornie; gdzieniegdzie leżały porzucane materiały krawieckie, jakieś igły, szpulki... Ach, już wiedział, gdzie jest.

Podziękował w myślach panience Rarity za przyjęcie go pod swój dach. Pozwoliło mu to zaoszczędzić sporo pieniędzy na hotelu, co bardzo mu się w tej chwili przydało — miał ich przy sobie zaledwie garść.

Wstał i zarzucił na siebie swój ulubiony surdut, jedyny, jaki zabrał ze sobą do Fuzzy Caverns. Rzucił okiem na zewnątrz — nadal było całkowicie ciemno. Czyżby Celestia miała jakieś ważniejsze zajęcia?

Zachichotał i podniósł z ziemi teczkę z dokumentami. Będzie musiał zabrać ją ze sobą do łącznika. Później, kto wie — może zrobi sobie krótką przerwę od polityki. W butiku Rarity było całkiem przyjemnie, podobało mu się też towarzystwo...

Cholera, czyżby się zadurzył? W kucyku...? Nie, to śmieszne. Kucyk nigdy nie zastąpi gryfa.

Zszedł po cichu do kuchni, tak, by nie obudzić śpiących w sąsiednim pokoju klaczy. Klaczy, bo z Rarity spała jej młodsza siostra, jak jej było... Sweetie Belle. Słodkie źrebię. Kiedy dowiedziała się, że gryf nie ma gdzie spać, bez wahania ustąpiła mu miejsca w swoim pokoju.

Przyznać trzeba było, że Sweetie podeszła do niespodziewanego gościa z zaskakującą uprzejmością. Zazwyczaj źrebiętom od najmłodszych lat wpajano niechęć do ich opierzonych sąsiadów. Tymczasem nie spotkał się z jej strony z żadnym przejawem strachu czy też wstrętu.

W kuchni też było całkowicie ciemno. Proud wyjął z kieszeni surduta zapalnik i rozpałił jedną z nich. Przypominał sobie, gdzie powinny znajdować się świece, i zapalił je. Pomyślał, że warto odwdziżyć się jakoś za nocleg — postanowił więc przygotować gospodarzom

śniadanie. Kiedy jednak zajął do lodówki, okazało się, że nie do końca ma z czego to śniadanie przyrządzić. Usiadł więc przy stole, na którym położył teczkę. Zamyślił się. O tej porze na straganach powinni już pojawiać się kupcy. Mógłby wyskoczyć na chwilę na rynek i zdobyć coś do jedzenia. I tak nigdzie mu się nie spieszyło, łącznik miał pojawić się najwcześniej koło południa.

Był prawie pewny, że kształt, który poprzedniego wieczora mignął na błyszczącym od pyłu niebie, był w rzeczywistości księżniczką. Jeśli tak w istocie było, nie miał wiele możliwości do wyboru. Mógłby zacząć ją gonić, mógłby przekonywać — ale na cóż by się to zdało? Jeśli już zdecydowała się wylecieć, miał marne szanse, aby ją powstrzymać.

Nagła wizyta w Canterlot też odpadała. Gryf na jego stanowisku nie mógł ot tak po prostu pojawić się w stolicy Equestrii i oznajmić, że wpadł porozmawiać sobie z Celestią. Tu wszystko wymagało delikatności i pewnej dozy dyplomacji.

Postanowił. Wszedł po cichu na górę, zabrał z walizki trochę drobnych i wrócił do kuchni. Kiedy się po niej rozejrzał, znalazł wiszący na ścianie pęk kluczy. Musiały otwierać drzwi wejściowe, zabrał je więc ze sobą. Wziął też ze stołu teczkę, nie chcąc zostawiać jej na widoku.

Zamknął za sobą drzwi, a klucze wrzucił pomiędzy dokumenty. Wolał nie ryzykować, szczególnie teraz, kiedy non-stop czuł się przez kogoś śledzony. Od wczorajszego wieczoru nie dawało mu to spokoju.

Nie mylił się, kiedy myślał, że na rynku zostanie już sprzedawców. Krzątali się właśnie przy straganach, rozstawiając na nich swoje towary. Proud począł rozglądać się po najbliższych, aż w końcu dostrzegł na jednym z nich jajka. Kurze, zjadliwe.

— Dzień dobry — krzyknął przymilnie sprzedawca na widok gryfa. — Czy może raczej: dobra noc? — zaśmiał się z własnego żartu.

— Rzeczywiście, coś to słońce dziś przysnęło. O tej porze powinno już wisieć nad horyzontem — odparł Proud. — Wezmę dziesięć sztuk.

— Ha, ha, ha! Słońce przysypia... Księżniczce się przysnęło, a nie słońcu! Ot co! — krzyknął kucyk, pakując jajka do paczki. — Uwierzyłby pan, bez tego, że już się nasza księżniczka starzeć zaczyna? He, he, a mówi się, że jeszcze nas ona wszystkich przeżyje...

— Nie jest znowu aż tak źle, szedłem bez latarki — rzucił Proud.

— Czy ja słyszałem coś o śpiących księżniczkach? — wtrącił jakiś zielony kucyk, włączając się w rozmowę. — Dzień dobry panom. O, z panem już się znamy — dodał z uśmiechem.

Proud sięgnął pamięcią wstecz. Nie musiał daleko szukać, poznał tego kuczka zaledwie dzień wcześniej.

— Rzeczywiście, witam ponownie. Heyday, prawda? — Uśmiechnął się.

— Wszystko się zgadza — odparł kucyk wesoło. — Dla mnie pięć.

— Już podaję — powiedział sprzedawca. — Swoją drogą, może to i lepiej, że słońca dłużej nie ma. Upału takiego nie będzie. — I wrócił do nakładania.

— Więc mieszka pan w Ponyville? — zapytał gryf Heydaya.

— A jakże! Najpiękniejsze miasto w całej Equestrii! Niech żałują ci, którzy nigdy tu nie byli!

— Dokładnie! — rzucił sprzedawca i podał jajka Proudowi. — Pięć się należy.

— Oczywiście, już płacę... Heyday, może mi pan potrzymać teczkę?

— Pewnie, że tak.

Proud podał teczkę kucykowi i przeszukał kieszenie w poszukiwaniu drobniaków. Gdzie on je podział?

— I jaja dla pana. Spakowałem sześć. Trzy monety się należą. Chyba, że jedną pan jakoś przepołowi, to coś wykombinujemy...

— Proszę bardzo. — Heyday rzucił okiem na gryfa i zachichotał. — Może zapłacę za pana, a pan później znajdzie swoje?

— Chwila, zaraz znajdę... Sekunda... Ech. Niech będzie.

Heyday zaśmiał się ponownie i przekazał sprzedawcy pięć monet.

— Dziękuję bardzo — powiedział tamten, po czym spojrzał w niebo. — O, no proszę, ktoś nam tu się obudził!

Proud i Heyday także rzucili okiem ku wschodowi. Słońce pewnym ruchem wysunęło się zza horyzontu i w kilka chwil wskoczyło na miejsce, na którym powinno już się znajdować. Gdzieś zza budynków dało się słyszeć spóźnione pianie koguta, a z otwartych okien wychynęły głowy kucyków.

— Mówię panom, to się źle dla nas wszystkich skończy. Kury ze stresu jaj znosić nie będą, a bez jaj to sobie można, ale... Wiedzą panowie, o co mi chodzi, he, he! No, to miłego dnia życzę! — rzucił radośnie sprzedawca i zajął się następnym klientem, przypominającym z wyglądu żołnierza.

— To co, w którą stronę pan idzie? — spytał Heyday.

— Do "Karuzeli". Panienska Rarity była na tyle miła, że pozwoliła mi zamieszkać ze sobą na parę dni.

Kucyk zagwizdał z uznaniem.

— Czyżby wpadł pan naszej krawcowej w oko? Pan wybaczy ciekawość. Czasami budzi się we mnie plotkarz.

Proud nie miał tego Heydayowi za złe. Mimo tego skrzywił się pod nosem. Z jakiegoś powodu nie miał ochoty rozmawiać z tym kucykiem.

— Wybaczę, wybaczę. Sam się nad tym zastanawiam... Przytrzymałby pan tę teczkę jeszcze przez moment, gdzieś tu muszę mieć te pieniądze...

— Oczywiście, bez pośpiechu. Wie pan, dzień jak codzień, ale ja mam dość niezobowiązującą pracę. Godziny ruchome, że tak powiem. To pozwala mi na relaks, kiedy go potrzebuję, z drugiej strony, tak tę pracę lubię, że mogę pracować choćby i cały dzień, jeśli tylko rzeczywiście mam co robić. Kojarzy pan na pewno tutejsze spa...

Proud średnio zwracał uwagę na słowa kucyka i skupił się na przeszukiwaniu surduta. Gdzie one są... no gdzie... zaraz, może tutaj... nie, tutaj nie... są!

— Mam je! — krzyknął. — No, proszę, pańskie pieniądze.

— Akurat na czas, jesteśmy pod butikiem — uśmiechnął się Heyday i zabrał od Proudą garść monet. — Pańska teczka — dodał, po czym przekazał ją gryfowi. — W takim razie do zobaczenia następnym razem!

— Miłego dnia — odpowiedział Proud i popatrzył za oddalającym się Heydayem. Zabawne, jak lekka, w porównaniu do tych jajek, zdawała się być teczka.

Zimny pot wystąpił mu na czoło. Już kolejny raz w ciągu ostatnich kilku dni. Rozejrzał się wokół, ale niczego nie mógł zauważyć, nieważne, gdzie szukał. Wzruszył ramionami i wrócił myślami do śniadania.

* * *

Neet rozsunął drzwi baraków i odetchnął z ulgą, czując ciepło płynące z wewnątrz. Może i dni bywały już upalne, ale poranki nadal potrafiły dać w kość. Młody podporucznik zdążył zmarznąć nawet pomimo tego, że z zamku do baraków było zaledwie kilka kroków.

Ze środka wyraźnie słychać było poranne rozmowy żołnierzy. Gdzieś z oddali dotarł też do niego zapach jajecznicy na maśle. Najwyraźniej komuś zachciało się wreszcie ruszyć zad na stragan. Wyśmienicie.

Pocierając kopytami o siebie, dotarł do stołówki i upatrzył sobie wolne miejsce gdzieś pod zegarem — tam, gdzie najczęściej siadali równi mu stopniem. Zaopatrzył się szybko w talerz jajecznicy i kawę, pozdrowił kilku kolegów i z największą ochotą przysiadł do posiłku.

— Gdzie byłeś o tej porze? — zainteresował się Mart Gallant, jego dobry przyjaciel. — Ominęło cię sporo zabawy. Nie zgadłbyś, o co potrafią klócić się ci młodzi — dorzucił, mrugając okiem. Natychmiast wrzucił do ust całkiem pokaźny kawałek sałaty. A potem kolejny. Gdzie on to wszystko mieścił?

— Właśnie zamierzałem ci opowiedzieć. Właściwie, to nie tylko tobie. Będziemy potrzebowali dwudziestu kuców. I sporo zaopatrzenia.

Jeśli Mart był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać. Z zapałem pochłaniał kolejne porcje posiłku. Po chwili na jego talerzu zostało tylko resztki sosu, dowodzące, że kiedyś była tu góra jedzenia. Pełno było ich też na stole i na podbródku kucyka. Neet parsknął śmiechem.

— To znaczy, dokąd się wybieramy?

— Można powiedzieć, że na operację pokojową — zażartował Neet. Również dokończył swój posiłek. Otarł się serwetką, wstał i machnął kopytem na znak, że przyjaciel ma podążyć za nim. Opuścili szybko stołówkę i skierowali się w stronę pokoiów mieszkalnych. Dopóki wszyscy ich współlokatorzy jedli śniadanie, mogli spokojnie zamienić kilka słów na osobności. Neetowi było to na rękę. Zależało mu na tym, żeby szybko i dokładnie przekazać Martowi najnowsze wieści.

Na początku wydawało się, że będą w sypialni zupełnie sami, jednak po chwili, zaalarmowani cichym chrapaniem, zorientowali się, że na jednej z pryczy nadal ktoś śpi. Przez krótką chwilę Neet miał ochotę nawrzeszczeć na niego, o tak, dla reprimendy. Krótką. Szybko doszedł do wniosku, że lepszą dla delikwenta karą będzie brak śniadania.

Neet podszedł do masywnego stołu pośrodku sali i rozejrzał się za mapą. Chciał wybrać jak najobszerniejszą, tak, żeby objęła swoim zasięgiem całe południowe pustkowia. Nie znalazł takowej, wybrał więc odrobinę mniejszą, ukazującą południe Equestrii i przynajmniej część torowiska prowadzącego do Fuzzy Caverns. Rozłożył mapę na blacie i wskazał kopytem kierunek, w którym powinny znajdować się jaskinie. Mart obserwował uważnie, z ciekawością oczekując słów przyjaciela.

— Fuzzy Caverns. Glow Town. Mówi ci to coś? — zaczął Neet. Przypominał sobie, że na szkoleniach z geografii, jeszcze z czasów początku ich służby, pewnego razu podjęto ten temat. Doskonale jednak zdawał sobie sprawę, że Mart mógł nie przykładać do niego uwagi i całkowicie o nim zapomnieć.

— Coś kojarzę. — Kucyk podrapał się po głowie, pewnie chcąc pobudzić umysł do myślenia. — W każdym razie, co to ma wspólnego z nami?

— Właśnie do tego zmierzam. — Neet oparł się o blat i skupił myśli. — Nie wiem, jak to wszystko się zaczęło, kapitan wprowadził nas tylko w wybrane tematy, ale najwyraźniej szykuje się coś dużego. Zauważyłeś pewnie, że wczoraj wieczorem Bailiff zwołał kilkunastu najszybszych i dokąś ich zabrał. — Nie czekając na potwierdzenie, kontynuował. — Pojechali właśnie do Glow Town, mają zdjąć tamtejszego gubernatora, i — teraz słuchaj uważnie — mają to zrobić na polecenie samej księżniczki.

— Celestii?

— Nie, durny, gdzie tam Celestii. Naszej, Twilight. Celestia siedzi teraz w Baltimore i szykuje Święto Słońca. Nic jeszcze nie wie o całej sprawie.

Mart westchnął zaskoczony. Neet ani trochę się mu nie dziwił. Pierwszy raz, od kiedy służy w gwardii, księżniczka podjęła tak skrajną decyzję. Zwykle dotąd stawiała na pokojowe rozwiązania, a w tragicznych sytuacjach zdawała się na kapitana. Ta sprawa musiała być naprawdę poważna.

— Ale co się dzieje? Mów dalej, nie trzymaj w niepewności — ponaglił go przyjaciel.

— Przecież mówię. Ten gubernator więc, Jester Lordly, ośmielił się podobno jawnie znieważać księżniczkę, a ponadto, co jeszcze gorsze, wszedł w konspirację z mającymi tam rzekomo przebywać gryfami. Za pośrednictwem nie kogo innego, jak samego Proudą Savagera.

— Tego Proudą?

— Tak, dokładnie tego. Trzeciego.

Nie musiał dodawać, na jakiej liście. Oboje byli przed dwoma dniami w Cukrowym Kąci; oboje też doskonale rozumieli, jakie znaczenie ma spisek na tak wysokim szczeblu.

Mart opadł na krzesło z jękiem. Zapatrzył się w mapę, jakby chciał odnaleźć na niej samego Savagera i rozgnieść go kopytem. Niestety, mapa była tylko mapą.

— Heh, to zawsze są tego pokroju sprawy... Jak nie jakieś magiczne fiubździo, to komuś się zachce politycznych kombinacji... A na koniec i tak zawsze musimy wkraczać my.
— Parsknął, potrząsając głową na boki. — Mów dalej, zaciekawileś mnie.

Neet wyjaśnił mu pokrótce wszystko, co sam usłyszał na porannym spotkaniu z kapitanem. Wspomniał o górniczych miasteczkach, transportach i pieniądzach, z jakimi związane było całe przedsięwzięcie. W miarę jak wprowadzał przyjaciela w szczegóły, ten okazywał coraz więcej zrozumienia. W końcu doszli do najważniejszego punktu — samej operacji.

— Podzielimy się na cztery oddziały, po dwadzieścia pięć kucyków każdy. Mamy za zadanie przechwycić i powstrzymać transporty z Fuzzy Caverns do Griffonstone. Istnieje szansa, że gryfy podporządkują się, gdy tylko powołamy się na Celestię. Dlatego też powiedziałem, że to operacja pokojowa. — Przerwał na moment. I uśmiechnął się krzywo.
— Jest też druga opcja...

— I dlatego jedzie nas stu — dokończył za niego przyjaciel.

— Dokładnie.

Mart parsknął śmiechem, mrużąc oczy. Oparł się mocno o stół i pokręcił powoli głową.

— Aż trudno uwierzyć, co? — spytał.

— Co masz na myśli?

— Że to się dzieje. Że pomimo całego tego postępu, dyplomacji, i tak dalej, i tak będziemy musieli walczyć przeciwko innym inteligentnym istotom. A wydawałoby się, że

żyjemy w cywilizowanym świecie. Że w tych czasach żadna walka, poza tą z potworami, już nas nie czeka.

Neet pokiwał głową w zadumie. Rozejrzał się po sypialni, wyobrażając sobie te wszystkie radosne i smutne chwile, które go w niej spotkały. Wspomnił dzień, kiedy przed kilkoma laty pojawił się tu po raz pierwszy. Wtedy również wydawało mu się, że to niewiarygodne. Że popełnia błąd, dołączając do gwardii. A jednak dołączył. I nie żałował.

— Spójrz na to z tej strony; jeśli nie po to, to po co było nam to wszystko? Po co były nam te wszystkie szkolenia, warsztaty, docinki porucznika na treningu? — wymieniał, podczas gdy Mart wpatrywał się w niego z uśmiechem. — Możliwe, że ta misja będzie niebezpieczna. Możliwe nawet, że skończy się dla nas tragicznie... Ale wiesz co? Mam to gdzieś. Przygotowywaliśmy się do tego pół życia. Jeśli mamy w nim jeszcze do czegoś się przydać, to tylko służąc ojczyźnie, ewentualnie za nią ginąc. Dobrze mówię?

— Ja bym na pewno nie ujął tego tak ładnie — zachichotał Mart.

Neet uśmiechnął się szeroko.

— No! To wołaj chłopaków. Wystarczy tej zabawy.

* * *

Proud wpatrywał się w zegar na wieży ratusza. Dwunasta miała wybić za kilkanaście minut; łącznik powinien zaraz zjawić się na miejscu.

Pani Cake z namaszczeniem położyła przed nim wielki kawał sernika i filiżankę herbaty. Podziękował uprzejmie, po czym wpatrzył się w spoczywający przed nim deser. Nie miał na razie ochoty jeść. Posłodził herbatę łyżeczką cukru i oddał się całkowicie mieszaniu jej. Męczyło go już oczekiwanie; czekał praktycznie od rana.

Po wnętrzu Cukrowego Kącika w ogóle nie było widać, że jeszcze dwa dni temu miała tu miejsce tragedia. O ile Proud dobrze się orientował, kucyki zamieszczone w wydarzenie z własnych kieszeni opłaciły błyskawiczny remont czy też kupno nowych mebli. Niektórzy nawet oddali cukierni swoje prywatne zastawy, w tym porcelanowe. Pani Cake choćby przed chwilą wypominała mężowi, że "niepotrzebnie je przyjmowali, teraz aż strach używać, bo co, jak ktoś ukradnie, albo, co gorsza, popękają". Dziób gryfa wykrzywił się w uśmiechu, kiedy słyszał podobne rzeczy.

— Przepraszam, czy ja mogę... Pan może jest... Pan Savager?

Proud spojrzał na niespodziewanego delikwenta; zwykły miejscowy kucyk, niczym się niewyróżniający. No, może tylko odstającymi przednimi zębami.

— Mógłbym może dostać od pana... To znaczy... Podpisałby się pan może?

Proud zrozumiał. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że może być w tym mieście rozpoznawalną postacią, ale najwyraźniej kucyki w Ponyville odbierały go, kandydata na króla, jako co najmniej celebrytę. To by tłumaczyło te wszystkie ciekawskie spojrzenia, które otaczały go, gdy szedł przez miasto.

Co nie umniejszało faktu, że spora część z nich była wroga.

— Oczywiście. Gdzie mam podpisać?

Kucyk podał mu wykonane chwilę wcześniej zdjęcie, wyraźnie przedstawiające ich obu siedzących przy stoliku. Ciekawe, ten moment umknął jego uwadze. Pokręcił głową i podpisał; chwilę później po kucyku nie było śladu.

Dzwon wybił dwunastą. Gdzie podziewał się ten łącznik?

We frontowych drzwiach pojawił się elegancko odziany jednorożec. Normalnie nie przykułby uwagi Proudą, ale miał wrażenie, że już go kiedyś widział...

— Freeserve! Jak się masz! — krzyknęła różowa klacz obsługująca klientów z panem Cake. Z tego, co Proud pamiętał, miała na imię Pinkie; przynajmniej tak wynikało z opowieści panienki Rarity. Cóż, skoro ich dwójka się znała, niewykluczone, że widział owego jegomościa jeszcze w Glow Town; mógł być członkiem grupy Twilight. Kiedy Proud zdał sobie z tego sprawę, stracił zainteresowanie dwójką kucyków.

— Przecież obiecałeś, że zagrasz... Pinkie-słowa się nie łamie.

— Ha, ha, oczywiście że zagram, moja droga! Daj mi tylko w końcu usiąść, nie mam wolnej chwili od, wyobraź sobie, tygodnia. Gdybyś mogła podać mi coś do picia...

— Pan Proud Savager?

Jego nie mógł nie rozpoznać. Pamiętał go jeszcze z czasów wspólnej szkoły wojskowej. Kucyk był wtedy w równoległej klasie, szkolącej głównie grupy wywiadowcze. Gryf zaczął kiwać głową z uznaniem, widząc, że kucyk nie zmarnował spędzonego na wykładach czasu. Po chwili zdał sobie sprawę, że musi to komicznie wyglądać, więc powstrzymał się.

— Zgadza się. To pan jest naszym kontaktem w Ponyville?

— To również się zgadza. Coupling Link, do usług.

Kucyk usiadł naprzeciw Proudą i położył na blacie ciemną, skórzaną torbę, równoległe do teczki gryfa. Podniósł do góry kopyto, a gdy pani Cake zjawiała się przy stoliku, zażyczył sobie tego samego, co jadł jego towarzysz.

— Jeśli mogę sobie pozwolić, chciałbym panu pogratulować wyniku — odezwał się, rozluźniając nieco atmosferę. — Niewiele głosów brakło panu do drugiego miejsca, a jestem pewien, że do właściwych wyborów uda się panu zdobyć i je...

Proud, może i nutką goryczy, ale uśmiechnął się w odpowiedzi. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z faktu, że sprawa nie jest tak przyjemna, jak mogłoby się wydawać.

Gryf zdążył się już odpowiednio poinformować, i wiedział dokładnie, ile brakowało mu, aby prześcignąć rywali. Nawet jeśli udałoby mu się pokonać Greedera, pozostawał jeszcze Slywing, z jego czterdziestoprocentowym poparciem. Wydawało się, że to mur nie do przeskoczenia...

Ale gryfy przecież potrafiły latać.

— Dziękuję — odpowiedział w końcu. — Panu również gratuluję. Przede wszystkim wytrwałości, bo, jeśli mogę tak rzec, mnie pańska praca szybko by zapewne znużyła.

— Nie jest tak tragicznie, jak mogłoby się wydawać. Może i obracam się w stałym gronie odbiorców, ale za to ile do mnie dociera przeróżnych informacji... Kto gdzie był, co i z kim robił... Proszę sobie wyobrazić, że, choćby w zeszłym tygodniu, by daleko nie szukać, przydarzyło mi się bliższe spotkanie z gościem z samej Saddle Arabii! Wiedział pan, że akurat na teraz, gdy u nas największe upały, u nich przypada pora deszczowa? Przez cały miesiąc nieprzerwanie leje, a potem przez cały rok susza! Zimowe wypady na południe raczej warto sobie odpuścić...

Coupling odebrał od pani Cake zamówione napój oraz ciasto i położył je na stoliku. Podniósł się delikatnie na krześle, rozsunął swoją skórzaną torbę i wyjął z niej kilka dokładnie zapieczętowanych zwojów papieru. Kilka z nich, uprzednio sprawdziwszy adresata, podał Proudowi.

— Oto pańskie listy. Może pan, jeśli sobie życzy, sprawdzić lak, wszystko powinno być w porządku. Coupling Link to porządna firma!

Proud, krótko dziękując, chwycił leżący obok talerzyka nóż i przystąpił do rozcinania pieczęci; łatwo odchodziły, znaczyło to, że lak jest jeszcze świeży. Rozgnieciony rozsypał się po stole. Proud nie zwrócił na to uwagi, całą skupiając na otrzymanych listach.

Pierwszych kilka nie miało większego znaczenia — zwykłe raporty, w większości potwierdzające status quo u wybranych dyplomatów bądź żołnierzy. W jednym znalazła się nawet zagubiona kartka z życzeniami urodzinowymi. Musiała zalegać u jakiegoś kuriera miesiącami. Proud jednak nie zwracał na to wszystko uwagi. Szukał tego wybranego, rzeczywiście go interesującego listu — po chwili do niego dotarł.

Rozpieczętował raport z Fuzzy Caverns i przejrzał zawarte w nim liczby. Kącik dzioba natychmiast powędrował mu do góry. Raport kończył się datą planowanego opuszczenia przez konwoje jaskiń, którą zaordynował jeszcze przed wyjazdem z Glow Town. Potwierdzały ją prawie wszystkie górnicze miasteczka. Doskonale. Wszystko szło po jego myśli.

— Tu jest jeszcze jeden, prosto z Griffonstone — powiedział Coupling, wyciągając w jego stronę niezapieczętowany rulon. — Miałem dostarczyć do rąk własnych, komisarzowi brakło laku na pieczęć.

Proud chwycił zwój i rozwinął zręcznie. Już słysząc słowo "komisarz" wiedział, czego się spodziewać. Wezwanie do Griffonstone, w sprawie właściwej elekcji. Za kilka dni publiczna debata; musi się do niej porządnie przygotować.

— Jeśli mogę spytać, planuje pan pozostać w Ponyville na dłuższy czas? — odezwał się kurier, podczas gdy gryf przekazywał mu własne listy.

— Tylko do najbliższego pociągu do Griffonstone. Muszę wracać do ojczyzny.

— Rozumiem. W każdym razie, życzę panu powodzenia w wyborach. Szczerze panu kibicuję.

— Dziękuję. — Na dziobie Proudą wykwił uśmiech. — Proszę mi wybaczyć, ale zapytam, korzystając z okazji. — Rozejrzał się wokół, upewniając się, że nikt niepowołany nie podsłuchuje ich rozmowy. Wszyscy potencjalni ciekawscy skupiali się jednak na strojącym właśnie gitarę kucyku. — Co skłoniło pana do pracy akurat dla nas? Nie czuł się pan... obco, służąc właściwie innemu gatunkowi?

Jeśli Coupling poczuł się urażony, słysząc to pytanie, niczego nie dał po sobie poznać. Ze spokojem przeżuł kawałek ciasta i spojrzał obojętnie na rozmówcę.

— Wie pan, w klasie wywiadu, jeszcze w akademii, usilnie wpajano nam myśl, że ojczyzna powinna być dla nas ważniejsza od samego życia. Że polecenia dowódców, niezależnie od ich skutków, powinny być wykonywane natychmiastowo i bez wahania. A ja... Nie znośłem tego. Dla mnie, urodzonego oportunisty, nadrzędnym celem od zawsze było dobro własne. Moje zajęcie nigdy nie było dla mnie służbą, ale tylko i wyłącznie pracą, taką jak każda. I najzwyczajniej w świecie dokonałem wyboru, gdzie zamierzam pracować. Mówić dalej?

Proud, zaciekawiony wywodem kucyka, przez moment starał się przyswoić to, co właśnie usłyszał. W końcu zreflektował się, i biorąc do dzioba kawałek ciasta, pokiwał głową.

— Pytał pan, dlaczego nie kucyki. Otóż powód był prosty. Equestria w moim mniemaniu jest już starym, zapatrzonym w siebie państwem. Kucyki od lat zamykają się w swoich zakonserwowanych społecznościach, nie dbając ani o postęp techniczny, ani o, nie wiem, gospodarczy. Od tysiąca lat władza spoczywa w kopytach tej samej księżniczki, a kultura to jeden wielki, zamknięty krąg powtarzalności i monotonii. — Tu Coupling zrobił krótką przerwę na łyk herbaty. — Z drugiej strony mamy Griffonstone. Świeże, odradzające się królestwo, w którym wszystkie aspekty życia społecznego zaczęły się dopiero co formować, a już mamy do czynienia z przyspieszeniem gospodarczym i zmianą formy władzy...

Gryf, sam nie wiedząc, czy podziela zdanie kucyka, potakiwał tylko głową. W Griffonstone osobnicy wypowiadający się o polityce z tak wielkim zaangażowaniem spotykali się co najwyżej z politowaniem. Ten kucyk brzmiał jednak, jakby był bardzo dobrze obeznany w temacie.

— Kto weźmie udział w narodzinach Griffonstone, wszędzie razem z nim. Tu nie było nad czym się zastanawiać. Wybór był prosty.

Coupling przerwał, a po chwili pochylił się ku Savagerowi i spojrzał mu w oczy świdrującym wzrokiem.

— Teraz moja kolej — odezwał się zniżonym głosem. — Ciekawi mnie pewna prosta rzecz. Czym jest dla pana ojczyzna? Dlaczego nie jest nią Equestria, w której wychował się pan i dorastał? Dlaczego właśnie Griffonstone, z którym jedyne, co pana łączy, to więzy krwi? Nie naciskam, jeśli sobie pan nie życzy, proszę nie odpowiadać.

Coupling z satysfakcją oparł się grzbietem o krzesło i dopił duszkiem herbatę. Po chwili zza jego pleców zaczęły dobiegać tęskne dźwięki gitary. Proud wsłuchał się w smutną, klasyczną melodię, i powolnymi ruchami, delektując się zarówno smakiem, jak i dźwiękiem, dokończył swój kawałek ciasta. Nawet jeśli chciałby odpowiedzieć na pytanie kuriera, nie potrafił. Co mu więc pozostało?

Patrząc w dal, pogрузzył się w rozmyślanie o niczym. Nawet nie zauważył, gdy utwór dobiegł końca, a siedzące w cukierni kucyki nagrodziły muzyka gromkimi brawami.

— No, na mnie już czas — odezwał się Coupling, wyrывая gryfa z zamyślenia. — Dziękuję za rozmowę. I jeszcze raz życzę powodzenia.

— Również dziękuję — odparł Proud.

Kurier, nie ociągając się, chwycił w zęby swoją torbę, odszukał w środku kilka drobników i odłożył je na środek stolika. Kiwnął głową na pożegnanie, i już go nie było.

Proud rzucił okiem na pozostawione na stole monety. Za dużo, jak za jedną porcję. Wzruszył ramionami, i, niewiele myśląc, chwycił własną teczkę. Wychodząc, odwrócił się do jednorożca z gitarą i rzucił:

— Piękna melodia.

Tamten chyba podziękował, ale Proud był już na zewnątrz.

* * *

Była na siebie bardzo zła. Wyspać się? Owszem, ale nie do popołudnia. Co ją w ogóle podkusiło, żeby kłaść się spać w Canterlot? Powinna była natychmiast po rozmowie z Luną wziąć zad w troki i wracać do Ponyville. Tam jest jej miejsce, szczególnie teraz, kiedy po miasteczku bezkarnie panoszy się niebezpieczny gryf, a nad Equestrią wisi widmo wojny.

Ta myśl wibrowała jej w głowie tylko dopóty, dopóki w jej miejsce nie wskoczyła następna. Przecież nikt nie będzie miał jej za złe, że położyła się spać! Była wykończona, tak fizycznie, jak i psychicznie. Ale mogła pomyśleć chociaż przez chwilę! Mogła przewidzieć, ile czasu zajmie jej sen. Mogła poprosić któregośkolwiek gwardzistę, żeby

obudził ją o odpowiedniej godzinie. Ostatecznie mogła nie kłaść się w ogóle i wytrzymać do rana! Aaach!!!

Głowa Twilight pękała, kiedy ta starała się nie stoczyć w dół schodów wieży. Mogłaby zlecieć, ale gdy tylko rozpościerała skrzydła, atakował ją lęk, którego nigdy do tej pory nie miała okazji doświadczyć. Przez moment, na widok tej wysokości, myślała wręcz, że za chwilę niechybnie zwróci wszystko, co jadła poprzedniego dnia. Jednak, całe szczęście, obeszło się bez tego.

— Wasza Wysokość, wszystko w porządku? — krzyknął gwardzista stojący nieopodal jej wieży. — Mam biec po...

— Nie, zostaw! Nic mi nie jest — rzuciła. — Celestia wróciła?

Strażnik sprawiał wrażenie mocno skonfundowanego.

— N... Nie, Jej Wysokości jeszcze nie ma.

— “Jej Wysokości jeszcze nie ma” — sarkastycznym tonem powtórzyła Twilight. Prędko się jednak otrząsnęła. — Przepraszam. Ja... Nieważne, muszę się przejść...

Minęła zakłopotanego gwardzistę i skierowała swe kroki ku pałacowym ogrodom. Puściła mimo uszu kilka pozdrowień, i już po chwili spacerowała po zielonym zagajniku. W nosie kręcił się jej zapach róż i goździków, a miękka trawa łaskotała jej kopyta.

Upał był nie do zniesienia. Tak samo, jak od już kilku dni. Co wyprawiały te pegazy? Czy to również była wina... jego...

Co za nieznośny los.

Gdzieś za drzewami słychać było szum wody. Twilight nie pamiętała, żeby w tym miejscu znajdowała się fontanna. Nie mając żadnego pomysłu, obojętnie skręciła w tamtą stronę. Po chwili w jej polu widzenia pojawił się kucyk z węzem ogrodniczym. Więc to od niego dobiegał szum... Dobrze chociaż, że podczas takiej suszy zamkowe ogrody miały zapewnioną odpowiednią opiekę.

Nagle na myśl przyszedł Twilight sad jabłkowy Apple’ów. Jeśli ta pogoda miała się utrzymać jeszcze przez dłuższy czas, jabłka były bez szans. Nie będzie w tym roku świeżych przetworów... i cydru...

Znalazła gdzieś na wzniesieniu odosobnioną ławkę i usiadła. Doskonale było stąd widać znaczną część ogrodów, Canterlot, a nawet, w oddali, Ponyville...

Twilight ponownie dała się pochłonać rozmyślaniom. Żałowała, że nie zabrała ze sobą Spike’a, ale z drugiej strony cieszyła się, że mógł przydać się w domu. List do Brave’a z pewnością dotarł do adresata zaraz po tym, jak został wysłany. Co to oznaczało? A to, że jej prywatna gwardia z pewnością była już obeznana z sytuacją, i tylko oczekiwała na rozkazy. Twilight będzie musiała dowiedzieć się, kiedy transporty minerałów wyruszą z

Fuzzy Caverns. Gdy tylko pozna tę informację, z pomocą gwardii na pewno uda jej się powstrzymać gryfy i zapobiec wojnie.

Westchnęła ciężko. Czy wojna z Griffonstone była wszystkim, co zagrażało Equestrii? Przecież już do tej pory ona sama była świadkiem kilku poważnych wypadków, spośród których tylko jeden powiązany był z gryfami...

Coś tu było nie tak. Czegoś tu ciągle brakowało...

Prawda przebiegała gdzieś pod nosem Twilight, ale wciąż pozostawała nieuchwytna.

— Przepraszam, nie przeszkadzam Waszej Wysokości?

Słowa ogrodnika gwałtownie wydarły Twilight z zamyślenia. Spojrzała na niego, rzuciła wściekle "przeszkadzasz", i zerwała się do lotu. Z Celestią czy bez, pora wracać do Ponyville.

Słońce szybko wysuszyło jej łzy.

* * *

Do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin. Nic nie przeszkadzało Proudowi, by w dalszym ciągu podziwiać uroki małego miasteczka. Jak i urok białej kłaczki, z którą miał przyjemność spacerować.

— Więc to prawda, że Ponyville powstało tu z powodu farmy? Słyszałem dotąd różne wersje. Że miasteczko miało ograniczać rozrost lasu Everfree, albo coś o zbiegu szlaków handlowych...

— Nie, nie, absolutnie! — zachichotała Rarity. — Wersja z farmą jest prawdziwa. To była całkiem ciekawa historia, o babci Applejack i jabłkach zap. Opowiedziałabym ci, ale na pewno pominęłabym połowę ważnych szczegółów.

Szli spokojnym krokiem wzdłuż parkowej ścieżki. Już dawno zostawili za sobą szkołę i uśmiechniętą panią Cheerilee, a daleko przed nimi, w górze, samotnie majaczyła wieża ratusza. Korony drzew bezbłędnie chroniły przed słońcem, a od strony potoku owiewało ich zwilgocone powietrze; było przyjemnie.

Kilkadziesiąt kroków przeszli w ciszy, jak gdyby chcieli w samotności, każdy po swojemu, delektować się chwilą. Kiedy jednak Proud spoglądał na mordkę towarzyszkę, widział w niej coś na wzór podenerwowania, czy też może troski. Wreszcie, kiedy przemierzali drewniany mostek nad potokiem, Rarity przerwała milczenie:

— Wiesz, zaraz przed naszym spacerem, byłam w szpitalu odwiedzić Starlight... Fluttershy też tam była...

Proud nie odezwał się słowem; nie był pewien, czy klacz oczekuje słownego wsparcia, czy też sama zamierza kontynuować. Druga opcja okazała się być tą prawdziwą.

— Martwię się o nią. O Starlight, znaczy się. Lekarze mówią, że jej stan jest stabilny, prawda, ale... — Rarity przerwała w pół zdania, zawieszając wzrok w próżni. — Jej oczy... Nikt nie ma pojęcia, czy Starlight będzie jeszcze kiedykolwiek widzieć. Na dodatek ta opieka... Co i rusz zajmuje się nią inny lekarz. To nie powinno mieć miejsca w naszym szpitalu, i nie miałoby, gdyby siostra Redheart była na miejscu.

— Siostra Redheart? — Proud spytał z ciekawością.

— Tak, nasza miejscowa mistrzyni, można powiedzieć. Do tej pory koordynowała zajęcia wszystkich lekarzy w szpitalu, a tu nagle, ni stąd, ni zowąd, jej nie ma... Tak samo Twilight. Od wczorajszego poranka nie odwiedziła chyba swojej uczennicy ani razu. Taka z niej mentorka?

Uszli kawalek, wystawiając się na światło słoneczne. Czuć powoli było, że temperatura powietrza spada, i że dzień ma się ku końcowi.

— Ja, mimo wszystko, cały czas jestem dobrej myśli. Wiesz, niedaleko Ponyville mieszka pewna zebra, Zecora — kontynuowała Rarity. — Dziś koło południa Fluttershy wybrała się do niej po radę, ewentualnie pomoc. Zecora z kolei zgodziła się odwiedzić Starlight, a jeśli tylko będzie w stanie, również pomóc jej wrócić do zdrowia. Jeśli ona nie da rady, to już nikt nie da rady. O.

Proud ponownie rzucił okiem na mordkę klaczy — choć przed momentem była pełna zmartwień, teraz sprawiała wrażenie pogodnej. Szczerze go to ucieszyło.

Z lewej pomachała im grupka piknikujących nieopodał ścieżki kucyków; odmachnęli. Po chwili dobiegł do nich wesoły chichot.

— O, popatrz, śmieją się z nas — odezwał się Proud żartobliwym tonem.

— Wiesz, mój drogi, to z pewnością komicznie wygląda, kiedy obok mnie, czworonożnej, na dwóch łapach wędruje sobie wielki, opierzony smutas — odpowiedziała Rarity, udając powagę.

— Tak też mogę — powiedział Proud, po czym opadł szponami na ziemię. Rarity wybałuszyła oczy.

— NIE!!! — wrzasnęła, aż gryf zerwał się na równe nogi, a z okolicznych drzew pouciekały przerażone ptaki. Wtedy spokojnym głosem dodała: — Pobrudzisz surdut.

Proud roześmiał się głośno. Młode kucyki tak samo.

— Bardziej niż w jaskiniach już go nie ubłocę — powiedział, wciąż się śmiejąc. Cieszył się, że Rarity, pomimo trudnej sytuacji, wciąż potrafi zachować dobry humor i dzielić się nim z innymi. Pogłębiało to tylko sympatię, jaką i tak już wobec niej odczuwał.

Szli dalej. Opuszczali powoli park i zbliżali się do centrum miasteczka. Gdzieś pomiędzy budynkami widać już było rynek, ku któremu zmierzali. Z daleka wydawał się być opuszczony, jednak wkrótce okazało się, że wciąż tętni życiem. Handlarze uprzątały już swoje stragany, a wokół restauracji roilo się od kucyków jedzących spóźniony obiad. Teraz, podczas upałów, nie było się nawet czemu dziwić.

— Więc do kiedy zamierzasz zostać w Ponyville? — spytała Rarity.

— Nie zaczynamy zdania od więc — odparł jej gryf.

— Nie chwytałyśmy damy za słówka — przedrzeźniła go klacz.

— Racja, panienka wybaczy moje grubiaństwo — odpowiedział z przesadzonym uniżeniem i zamilknął.

Minęła sekunda, dwie.

— No więc?

— A...

— Grrr!...

Roześmiali się oboje. Słońce świeciło im w oczy, a spokojny zefirek owiewał ich głowy. Mordka Rarity lśniła w słonecznym świetle, a jej grzywa rozplatała się w powietrzu i fruwała wraz z wiatrem. Proudowi przemknęło przez myśl, że klacz wygląda pięknie.

— Patrz pod nogi! — fuknęła na niego. Postanowił nie trzymać jej dłużej w niepewności:

— Dziś wieczorem mam pociąg do Griffonstone — powiedział. — Kilka godzin temu odebrałem wezwanie, w ramach przypomnienia. Za kilka dni debata — jeśli dobrze na niej wypadnę, może wskoczyć mi kilka punktów procentowych...

— Proud, nie przejmuj się tym aż tak — odezwała się Rarity. Pewnie wyczuła w jego głosie tę nutkę goryczy, którą tak starał się zamaskować. — Jeśli wierzyć Rainbow, będziesz jedynym godnie prezentującym się kandydatem. Masz w sobie siłę, dumę, elegancję, a do tego wszystkiego rozsądek. Idealny kandydat na króla! Czego więcej ci potrzeba?

— Pieniądzy — wyrwało się Proudowi, nim ugryzł się w język.

Spodziewał się, że Rarity spuści wzrok, lub chociaż, że tłący się w jej oczach płomień straci blask. Przeciwnie, rozgorzał jeszcze mocniej.

— A Fuzzy Caverns?

Prouda замуrowało. Klacz z kolei była wyraźnie podekscytowana, mimo to cały czas świetnie panowała nad swoim głosem.

— Nie powiesz mi chyba, że w tak trudnej sytuacji ot tak sobie wybrałaś się na wycieczkę po jaskiniach! Nie mów tak, bo nie uwierzę. Nie uwierzę, że ty, ze swoim

marzeniem i wyobraźnią, nie wymyśliłeś żadnego planu na szybkie wzbogacenie się! Że bez walki oddajesz tak pożądane stanowisko! Nie-mo-żli-we!

Przez moment gryf sądził, że Rarity skądś, na przykład od Twilight, wiedziała o gryfach i jego planie związanym z Fuzzy Caverns. Wszystko jednak wskazywało na to, że błędnie ocenił sytuację. Odetchnął z ulgą i odpowiedział spokojnie:

— Przyznaję się, mam pewien plan. Jest niepewny, ale jeśli wszystko pójdzie gładko, mam szansę znacznie się wzbogacić. Z naciskiem na znacznie.

Rarity z zadowoleniem pokiwała głową. Poszli dalej. Gdzieś na skraju rynku w oczy Proudą rzucił się stragan, na którym rankiem tego dnia kupował jajka. Właściciel straganu opierał się grzbietem o jego drewnianą ściankę. Jednym kopytem z zadowoleniem przerzucał monety, drugim nieustannie poprawiał swój awangardowy zarost.

— Dzień dobry! — krzyknął Proud. — Jak poszła sprzedaż?

— Sprzedaż? Ha, ha! — zaśmiał się kucyk. — Sprzedaż to się skończyła pół dnia temu! Teraz czekam tu na swoją, wie pan... — Kucyk mrugnął okiem, wskazując wzrokiem Rarity. — No, a wam miłego wieczoru życzę! — dorzucił.

— I nawzajem! — odpowiedział gryf.

— To od niego kupiłeś rano jajka? — spytała Rarity, gdy uszli kilka kroków.

— Tak, od niego.

— Dziękuję raz jeszcze. Było pysznie. Kiedy wyszedłeś, Sweetie Belle dopytywała się mnie, kto nauczył cię gotować — zachichotała z zadowoleniem wypisanym na mordce.

— Jak już mówiłem, nie ma za co — odrzekł jej Proud. — To mała rekompensata za gościnę. A Sweetie Belle niech panienka powie, żeby zgadywała — dodał, mrugając do klaczy okiem.

Właśnie, Sweetie Belle. Ciekawość o nią nurtowała go od rana. Postanowił poruszyć temat.

— Nie zauważyłem w zachowaniu tej młodej damy ani odrobiny nietaktu. Jest wzorowo wychowana — powiedział z uznaniem, co Rarity skwitowała parsknięciem.

— Wzorowo to chyba za dużo powiedziane. I to o wielkie "dużo". Chociaż przyznaję, kochany z niej kucyk.

— Będę drobiazgowy, ale czy sama z siebie zachowała się wobec mnie tak uprzejmie? Rzadko spotyka się źrebięta w jej wieku nieodczuwające wobec gryfów niechęci czy strachu.

— Ach, o to chodzi — podłapała Rarity. — Cóż, Sweetie Belle miała już do czynienia z gryfami. To całkiem ciekawa historia. Parę miesięcy temu, nie wcześniej, ona i jej koleżanki

pomagały pewnemu gryfowi odnaleźć powołanie. Myślę, że wówczas Sweetie skutecznie pozbyła się uprzedzeń.

— Rozumiem — powiedział Proud. — A co z tamtym gryfem? Udało mu się odnaleźć to, czego szukał? — spytał z ciekawości.

— O to, mój drogi, możesz już spytać Sweetie, przy kolacji — odparła z uśmiechem Rarity.

Dotarli akurat do "Karuzeli". W samą porę, słońce wisiało już bardzo nisko nad horyzontem. Rarity otworzyła drzwi i weszli do środka. Z kuchni dolatywała ich słodka mieszanina zapachów i wesoły śpiew Sweetie.

— Sweetie, jesteście! — krzyknęła na wejściu Rarity.

— Tak szybko? Jeszcze nic nie jest gotowe! — odpowiedział jej krzyk z kuchni.

Rarity zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w tamtym kierunku. Proud, korzystając z okazji, że lustro wisi zaraz obok wejścia, przyjrzał się swemu odbiciu. Tego dnia wstał rzeński i wyspany, wolny czas spędził na rozrywce. Nie było mowy o zmęczeniu. Surdut też nie zdążył ucierpieć, gdy przesunął nim po ziemi. Było wprost świetnie.

— Sweetie, brałaś klucz z pęku? Jednego brakuje.

— Nie, niczego nie brałam.

— To dziwne...

Nieemożliwe. Nieemożliwe. Nieemożliwe.

Proud rzucił się pędem po schodach, wprost do swojej sypialni. Od wejścia zaczął przyglądać się całemu pomieszczeniu, badając najmniejsze szczegóły, nic jednak nie przykuło jego uwagi. Biurko? Nie... Łóżko? Nie... Nie, niczego nie brakowało. Ale... Coś tu ciągle było nie tak...

Jakaś rzecz, gdzieś na granicy świadomości, wciąż nie chciała dać mu spokoju.

— Proud? Co się dzieje? — spytała Rarity, wchodząc do sypialni.

Spojrzał na nią rozpalonym wzrokiem, podnosząc rękę. W szponach trzymał nić zielonego włosia.

— Co to za materiał? Nie przypominam sobie tego koloru...

— To nie materiał. Ktoś tu był. I chyba nawet wiem, kto.

Kiedy Twilight lądowała na rynku w Ponyville, poza horyzont wystawał już tylko sam obrys korony słonecznej. Dzwon w oddali wybijał po cichu godzinę dwudziestą, a centrum miasteczka pozostawało puste, wyłączając przechadzających się tu i ówdzie młodzieńców. To normalne; po zmroku życie w Ponyville przenosiło się w okolice nowego osiedla, gdzie przyjezdni mogli pozostawić swoje bagaże i przenocować — tam też powstawały obecnie kawiarnie, restauracje i im podobne lokale.

Twilight spojrzała w ciemne, rozgwieżdżone niebo. Nie miała pojęcia, co robić dalej. Jedyne, czego była pewna, to tego, że bolało ją gardło. I że, z braku sił na lot, straciła na podróż do Ponyville przynajmniej kilkakrotnie więcej czasu, niż powinna.

O kilka metrów minął ją jednorożec, który za pomocą swej magii rozpalał uliczne latarnie; błysk... błysk... błysk... Brukowany deptak wypełniał się powoli, acz nieubłaganie, ciepłym, pomarańczowym światłem. Twilight też błysnęła raz czy dwa. Dla przypomnienia.

— I wtedy właśnie wkroczyłem ja! Cóż z tego, iż bałem się niemiłosiernie; po to właśnie żyjemy! By, stawiając czoła swemu lękowi, prowadzić naród ku lepszemu życiu! Ku światłej przyszłości, na którą zasługuje!

— Oooch!

Słyszając głos Spike'a, Twilight głośno parsknęła. A gdy dotarło do niej, o czym mały smok rozprawiał przed śledzącą go grupką młodych kucyków, roześmiała się na dobre.

— Spike, przyznaj się, ktoś ci to pisał! — krzyknęła w przerwie między jednym napadem śmiechu, a drugim. — Kucyki, chyba nie bierzecie na poważnie tego, co mówi?

Kucyki wyglądały na mocno skonsternowane.

— Twilight! Stajesz na mojej świetlanej drodze ku sławie! — krzyknął Spike z paniką w głosie. — Nie dajcie jej się zwieść, moi mili! To nie jest tak, że ktoś mi to pisał... To jest... Ja sam... Ja...

Jego mili nadal stali zakłopotani. Ktoś beknął. Jeden, wyglądający szczególnie frapująco, pochylił głowę do poziomu i wpatrywał się w smoka swoimi wielkimi oczami. Spike z kolei, widząc to, gwałtownie się uklonił i uciekł w ciemność pomiędzy budynkami. Twilight nadal głośno się śmiała. Brakowało jej tego ostatnimi czasy; nie śmiała się tak szczerze chyba od tygodnia.

— Twilight, musiałaś? — spytał Spike, kiedy już oddalili się od rynku. — Już prawie ich miałem! Żebyś ich widziała, kiedy opowiadałem, jak nawróciłem Discorda i rozwaliłem Sombre! Byli moi!

— Spike, nie gniewaj się. Sława to nie wszystko — odpowiedziała mu wesoło Twilight.

— No tak, są jeszcze pieniądze — skwitował smok. — Wracam do zamku, ugotuję kolację. Chyba, że dzisiaj też zamierzasz zniknąć gdzieś bez zapowiedzi.

— Nie, dzisiaj nie. Dzisiaj jestem głodna.

— No, i to rozumiem — powiedział Spike. — Idziesz prosto do zamku?

Twilight zamyśliła się na krótką chwilę. Musiała przemyśleć szybko, czy może już sobie pozwolić na powrót do domu, czy też powinna załatwić jeszcze jakieś sprawy. Nie, nie miała żadnego pomysłu. Jedyne, co...

— Spike, idź do zamku. Ja się jeszcze krótko przejdę.

Spike, nie zwlekając, odwrócił się i pobiegł w swoją stronę. Twilight mogła teraz, bez pośpiechu, odwiedzić Starlight w szpitalu. Zastanawiała się tylko, czy w okolicy będzie mogła kupić jakiś prezent dla swej uczennicy. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Ruszyła więc w kierunku szpitala.

Spokój Ponyville. Twilight uwielbiała ten stan błogości i nieświadomości, w jakim od zawsze trwało miasteczko. Dotychczas, nawet jeśli jakieś niefortunne wydarzenie przerywało go, wraz z przyjaciółmi, wspólnymi siłami szybko udawało im się przywrócić ład i harmonię. Czy ten kurs miał szansę utrzymać się również w przyszłości? W tej chwili bała się o tym myśleć; zbyt dużo spraw toczyło się ostatnio niepomyślnie.

Trzeba było przyznać, że w ostatnich dniach zachowywała się z lekka inaczej, niż miała w zwyczaju. Nie było jednak wyjścia. Jeśli jej kraj, z zamieszkującymi go kucykami, miał pozostać bezpieczny, należało bezzwłocznie i skutecznie pozbyć się wszystkich stojących im na drodze przeszkód. Twilight nie była zadowolona z faktu, że jest zmuszona robić to bez pomocy przyjaciółek; z drugiej strony, nie była całkowicie sama. Była jeszcze Starlight.

Starlight uwierzyła. Nie sprawiała Twilight wymówek, nie kłóciła się z nią o fakty; w końcu nie wmawiała jej szaleństw. Nie to, co niektórzy... Jeśli Twilight miała na kogoś liczyć, to właśnie na swoją uczennicę. Cóż z tego, że leżała rozbita w szpitalu? Umysł wciąż miała klarowny. Gdyby tylko bez problemu odzyskała wzrok...

Właśnie. Gdyby tylko go odzyskała.

Dlaczego to akurat Starlight musiała być skazana na takie cierpienie? Żaden z kucyków uczestniczących w wypadku nie ucierpiał podczas niego aż tak tragicznie. Dla wszystkich pozostałych dzień skończył się co najwyżej na połamanych kończynach czy poobijanych mordkach. Wszystkich, poza nią. Dlaczego właśnie ona, uczennica Twilight? Czym zawiniła? Czy jedyną jej winą było to, że blisko przyjaźniła się z księżniczką? Czy to właśnie dlatego mroczny kucyk wybrał ją sobie na kolejną ofiarę? Czy los naprawdę musiał być dla niej tak okrutny? Dlaczego?!

Do szpitala wchodziła z napuchniętymi od łez oczami. Czy to były łzy gniewu, czy rozpacz, ktoś mógłby to wiedzieć?

— Wasza Wysokość do Starlight? Zaprowadzę...

— Trafie — odszczeknęła. Pill aż skulił się za ladą recepcji. Jakiś lekarz, stojący obok, machnął tylko kopytem.

Amatorzy, leserzy, nieudacznicy! I ten pomocnik... Twilight nie czuła wobec nich niczego poza wzdargą. Podczas gdy siostra Redheart gdzieś zniknęła, ci pseudolekarze nie potrafili podjąć choćby próby przywrócenia Starlight wzroku. Była pewna, że gdyby chociaż spróbowali, na pewno udaloby im się osiągnąć cokolwiek. Oni jednak próżnowali.

W prawo. Po schodach na pierwsze piętro. Znowu w prawo. Już niedaleko. Jeszcze kilka sal.

Poczuła nagle wielką ochotę wyzalić się Starlight i zwierzyć ze wszystkiego, co wciąż dręczyło jej duszę. A im bliżej sali się znajdowała, tym większa była ta ochota.

Może nadal była jakaś szansa? Może, wbrew wszystkiemu, to wciąż był tylko wyjątkowo przykry sen? A nawet jeśli nie, czy tej sytuacji naprawdę nie można było tak po prostu naprawić? Czy to naprawdę aż takie trudne? Niech jej przyjaciółki wrócą i bawią się z nią tak dobrze jak dawniej! Niech wróci zaufanie, którym tak je darzyła! Przecież nadal nie jest za późno! Nadal wszystkie mogą zjednoczyć się, tak jak to zawsze miało miejsce! Wystarczyło tylko spróbować! Prawda?!

Prawda!!!

— Starlight...

— ...Starlight, moja droga; porzuć te domysły. Twilight nam po prostu... postradała zmysły.

Co?

Stała jak sparaliżowana, zaraz przed drzwiami. Nie było już nic, poza nią, podłogą, i głosem tej zębry. I drgawkami.

Co to znaczy, że postradała zmysły? Twilight postradała zmysły? Co ona tu robiła? O czym mówiła? Dlaczego to w ogóle się działo? Starlight, wszystko w porządku? Twilight? Nie, nic mi nie jest. Nie kłam. Twilight, nie kłam! Okłamujesz sama siebie! Nie, wcale nie! Nie płacz! Co ona tu robi? Jakim cudem?! Przyjaciółka?! Zdrajczyni! Nie wierzy! Płaczesz! O co ci chodzi?!

Przestań!!!

Nagle konwulsje rzuciły ją o podłogę, zalaną łzami. Ryczała. Bezdźwięcznie, ale jakże prawdziwie. Ciężkie, słone krople nieustannie toczyły się z jej oczu.

Miała dość. Już nie chciała. Dlaczego to wszystko w ogóle miało miejsce? Nie dalej, jak tydzień temu, Twilight mogła poświęcić życie swoim przyjaciółkom, teraz już nie było go komu poświęcać! Gdzie byli ci wszyscy zatroskani jej losem?! Gdzie się podziewali teraz, kiedy Equestria na cienkiej linie wisała nad przepaścią?! Gdzie?!

— ...się o to martwię. Widzieć, może i nie widzę, ale słyszę wyraźnie. A w jej głosie słyszałam coś dziwnego. Boję się, Zecoro...

BÓJ SIĘ! BÓJ SIĘ TAK, JAK I JA SIĘ BOJĘ!!!

Przyjaciele od siedmiu boleści! Zdrajcy, kłamcy, kanalie! Wierutni hipokryci! Wszyscy będziemy musieli słono płacić za waszą nieufność! Wszyscy, co do jednego! Kiedy Equestria runie, nikt się nie oстане!

Pieprzony Proud Savager! Pieprzone Griffonstone! I na sam koniec, do kroćset pieprzony kucyk w masce! O co mu chodzi?! Czy jego celem jest doszczętnie zniszczyć wszystko, co żyje? Czy tak wygląda pojmwana przez niego zabawa?! Cholerny morderca! Psiakrew!!!

Nie, Twilight do tego nie dopuści! Jeśli będzie musiała samotnie stawiać czoła burzy, zrobi to. I niechby nawet zginęła! Jeśli ceną za pokój ma być jej krew, niech dopełni się to okrutne przeznaczenie!

Słyszysz, potworze?! Skończył się czas twojej chorej, krwawej gry! Od tej chwili ona, Twilight, nie spocznie, póki Equestria ponownie nie zazna spokoju! Choćby czekała ją walka sam na sam z całą armią parszywych gryfów! Twoje niedoczekanie!!!

— Co tu się... Księżniczka? Czemu na ziemi... Celestio, jak księżniczka wygląda! Proszę poczekać, pomogę...

— Idź precz!!!

Pielęgniarka zastygła w miejscu z zatrwożoną miną. Czegóż ona, u licha, chciała?! A, zresztą... Chrząnić ją i cały ten przekłety szpital! Chrząnić tych obrzydliwych krwio pijców! Niech Starlight wraca sobie do zdrowia bez jej pomocy!

Pill na jej widok wręcz skrył się za ladą. Co, nigdy nie widział płaczącego kuczka? Czy to może wymiociny na jej mordce były dla niego tak odrażające? Tfu! Oł, co o nim myślała! Wszystkie żywione do kuczka uczucia ściśnięte w jednej kapce spienionej śliny.

— Wasza Wysokość, wszystko w porządku? Wasza Wysokość...!

Jednym błyskiem odtrąciła dręczącego ją lekarza i pobiegła dalej. Kim oni w ogóle byli?! Niczym! Jak chcieliby jej pomóc? Przywiązując ją do łóżka i czekając, aż Equestria upadnie?! Nie miała czasu na takie bzdury!

— Co z nią? Co się tam stało...? — usłyszała, nim trzasnęła drzwiami.

Droga przez miasto minęła jej w mgnieniu oka. Była zbyt wściekła, żeby przywiązywać uwagę do czegokolwiek. Jakieś nic nieznaczące pozdrowienia, ukłony, bzdety... Warte tyle, co te "zatroskane" pytania o jej stan. Na myśl o utraconym przez nią czasie Twilight aż trzęsło. Na szczęście do zamku nie było daleko.

— Brave! Heyday, do mnie! Teraz! — krzyknęła na wejściu do zamku.

Kapitan gwardii był pierwszy kucykiem od wyjścia ze szpitala, który nie bał się spojrzeć jej w oczy. Nie patrzył jednak długo, tylko na tyle, by potwierdzić wydane mu polecenie. Zawahał się przez moment, ale w porę się zreflektował. Nie minęło kilka minut, gdy w komnacie tronowej pojawił się zielony kucyk.

— Wasza Wysokość?

— Raport.

Heydaya okropny stan księżniczki również nie onieśmiał. Musiał za to wyczuć, że nie należy teraz rozpalać jej emocji. Stał więc na baczność i przystąpił do składania raportu:

— Melduję, Wasza Wysokość, że zgodnie z poleceniem śledziłem Proudą Savagera bez chwili przerwy, aż do momentu, gdy musiałem wycofać się z działania pod groźbą wykrycia. Zaraz przed dzisiejszym świtem ponownie nawiązałem kontakt z...

Nie dało się ukryć, że taka forma raportu nużyła Twilight. Nie przerywała ani nie popędzała kucyka tylko z braku siły do jakiegokolwiek działania. Podczas gdy mówił, ona rozsiadła się wygodnie na którymś z sześciu większych tronów i przykuła wzrok do Znaczkowej Mapy. Czy mapa zadziała jeszcze kiedykolwiek? W tej chwili trudno było o tym decydować, podobna sytuacja nigdy dotychczas nie miała miejsca.

— ...śledzony całe popołudnie spędził wraz z powierniczką Klejnotu Szczodrości, Rarity. Odwiedzili kolejno...

— Co powiedziałaś? Rarity? — Twilight przerywała raport kucyka. — Co oni robili razem?

Heyday poruszył się ledwo zauważalnie. Twilight zastanawiała się, czy szpieg nie opowiadał tego dosłownie przed chwilą, a teraz zmusza go jedynie, aby się powtórzył. Nawet jeśli było to prawdą, trudno; nie dosłyszała, a wszystko wskazywało na to, że jak najbardziej powinna.

— Śledzony spędził noc w butik „Karuzela”. Rankiem wybrał się na stragan, w celu dokonania zakupu jaj...

Tyle wystarczyło Twilight, by utwierdzić ją w podejrzeniach. Dla niej sprawa prezentowała się jasno — Rarity współpracowała z gryfami. A co najmniej z jednym, najgorszym z nich.

Kaszlnęła. Wtedy, w jednej chwili, wskoczyła w jej umysł myśl o pewnym incydencie, który przydarzył się zaledwie kilka dni wcześniej. Kamień na przyjęciu u Jester. Do tego momentu miała jedynie wątpliwe podejrzenia co do winy białej klaczy; teraz miała już pewność. Rarity zaplanowała, a przynajmniej przygotowała i przeprowadziła, zamach na jej życie. Zamach na księżniczkę przyjaźni. Na swoją przyjaciółkę.

Gwałtownie zerwała się z miejsca, wprawiając przy tym Heydaya w niemałe osłupienie, i z całą mocą błysnęła rogiem. Tron Rarity mignął przed jej oczami, by moment później rozbić się w drobny pył na ścianie komnaty. Po podłodze posypały się gruz i,

przyjmujący formę słonych kropel, głęboki żal Twilight. Jęknęła ze złości; a może z rozpacz?

Heyday podszedł niepewnie kilka kroków.

— Wasza Wysokość...? Wszystko w...

— NIE!!! — wrzasnęła. Zachwiała się na nogach, pocierając czoło kopytem. Po chwili stanęła trochę pewniej i wróciła wzrokiem do zielonego kucyka. — Mów dalej — zachrypięła wściekle.

Część z emocji księżniczki spłynęła chyba na Heydaya. Po jego mordce widać było, że nie wytrzyma już narastającego w nim napięcia; chciałby przejść w końcu do najważniejszego, co też natychmiast uczynił:

— Wasza Wysokość, w teczce Savagera udało mi się znaleźć raport pochodzący z Fuzzy Caverns. Według niego gryfońskie transporty minerałów wyruszą już dziś wieczorem, a najpóźniej za dwa dni od tej chwili powinny opuścić jaskinie.

Tak szybko? Tego Twilight się nie spodziewała... Ale skoro tak się sprawy miały...

Nie pozostawało nic, jak tylko dostosować się do sytuacji. By w końcu ujarzmić ją i przejąć kontrolę nad biegiem wydarzeń. Skończył się czas bezczynnego oczekiwania — nadeszła chwila, aby udowodnić, że jej gatunek jest w stanie oprzeć się przeznaczeniu, nagiąć go do swej woli, a ostatecznie złamać. Twilight zaś będzie jego przewodniczką; nie pozwoli, by Equestria dała się rozszarpać szponom bezlitosnego losu.

— Brave! — krzyknęła.

Kapitan gwardii, nie ociągając się, pojawił się w drzwiach, z poważną miną na mordce. Twilight nie potrzebowała się zastanawiać. Nie miała nad czym. Teraz należało działać szybko, tak, by uprzedzić nadchodzące wydarzenia i zapobiec im.

— Wszystko gotowe? — zapytała go.

— Tak jest, Wasza Wysokość. Setka kucyków czeka na twoje rozkazy.

Doskonale. Twilight wiedziała, że na Brave'ie można polegać.

— Wyruszycie natychmiast. Wszystko według planu. Heyday przekaże ci wszystko, co wie — powiedziała, po czym odwróciła się do nich plecami. — Nie zawiedźcie mnie — dodała na koniec.

Brave i Heyday zasalutowali pospiesznie, i po chwili już ich nie było. Twilight została sama w ciemnej, cichej komnacie. Chciało jej się płakać, ale oczy odmawiały jej posłuszeństwa — wciąż płonęły gniewem.

Nie mogła już dłużej wytrzymać. Nienawidziła tej komnaty i wszystkiego, co sobą prezentowała. Nienawidziła wspomnień, utrwalonych w zwisających pod sufitem kryształach. Nienawidziła rozsypanego po podłodze gruzu, który pozostał po tronie jej byłej przyjaciółki.

Nienawidziła każdej chwili, którą musiała spędzić w towarzystwie tych zdrajców!
Nienawidziła!!!

Zawyla wściekle, i wyszła z komnaty.

— Spike, co na kolację?! — krzyknęła w nadziei, że jej głos dotrze do małego smoka.

— Jajecznicza — usłyszała w odpowiedzi.

* * *

W barakach późną porą często panowała gorąca atmosfera. Dokładnie taka jak dzisiaj. Od kolacji do godziny dwudziestej drugiej w szeregach gwardii królewskiej trwał czas wolny, który żołnierze uwielbiali spędzać aktywnie, o ile tylko po zajęciach w danym dniu pozostawało im na tyle energii. Dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem.

Wokół Neeta panował niemały rozgardiasz. Przy sąsiednim stoliku kilka kuców grało w karty. Dalej, za nimi, mieścił się kącik, w którym żołnierze całe wieczory spędzali na siłowaniu się ze sobą. Zaraz obok niego przesiadywało kilku muzykantów, każdy ze swoim instrumentem: gitarą, harmonijką czy popsutym akordeonem. Niestety, żaden z nich nie był na tyle uzdolniony, aby z powstałej muzyki dało się wyodrębnić choćby jeden kompletny utwór; mimo to było bardzo wesoło.

Na samym środku sali, w obrzeżach kręgu zbudowanego z kilkunastu kucyków, odbywała się ulubiona konkurencja towarzyszy Neeta — zapasy. Dwóch chętnych stawalo naprzeciw sobie, a następnie starało się sprowadzić przeciwnika do podłogi. Zawody niekoniecznie odbywały się według jakichś określonych zasad; najczęściej jedyną granicą były trwałe uszkodzenia ciała, których wszyscy starali się unikać, oczywiście na miarę swoich możliwości.

Ostatnimi czasy powstał nawet specjalny ranking, w którym żołnierze spisywali zwycięstwa i porażki swoich kolegów. Później na jego podstawie wymieniano się obowiązkami. A raczej, by rzecz dokładnie, zrzucono je na ostatnich w rankingu. Nie warto było więc zaniedbywać regularnej walki o swoją pozycję.

— Neet, co tu tak siedzisz w odosobnieniu? — spytał Mart, dosiadając się do stołu.
— Może byś tak czasem zadbał o swoje miejsce na liście? — dodał, chichocząc.

— Lepiej sam zadbaj o swoje. Mnie już dawno wykreślili — odpowiedział mu Neet, wystawiając język.

— A od kiedy to byle podporuczników zwalnia się z honorowej służby? — Zapytał Mart, podkreślając "honorowej". — To nie może tak zostać! Idę z nimi pogadać. Chłopaki!...

— Siedź! — krzyknął Neet, śmiejąc się. — Kiedy przyjdzie potrzeba pokazać, kto tu rządzi, sam się tym zajmę — dodał żartobliwie.

— Zwycięzcą po raz kolejny zostaje Guzz! Brawo! — krzyknął żołnierz wyznaczony tego wieczoru na sekundanta. Wtórowali mu otaczający go koledzy, kibicujący wygranemu. — To co, panowie, który następny? Dalej, jazda! Nie mamy całej nocy!

Na ten sygnał kucyk, siedzący do tej pory przy karcianym stoliku, zeskoczył ze swojego krzesła i przecisnął się na prowizoryczną arenę. Inni zaczęli skandować jego imię, a sekundant, nie czekając, ogłosił następną walkę.

— Stawiam na Stiffy'ego. Rozłoży go jak nic! — krzyknął Mart.

— Przyjmuję! — odpowiedział mu Neet. — Walczy z Guzzem już dziesiąty raz w tym miesiącu. A jak dotąd nie zauważyłem żadnej poprawy, ani w jego ruchach, ani w postawie.

— Kiedyś musi mu się udać! Może to akurat dzisiaj. Czekaj, załatwię coś na przegryzkę...

— Czy ty ciągle musisz coś jeść? — zapytał go ze śmiechem Neet, gdy ten wrócił ze swoją ulubioną sałatką na talerzu. — Pogadam z kucharzami, żeby odebrali ci klucze do kuchni...

— Ne ma moy! Mowy! — krzyknął Mart, przelękając. — Zasłużyłem sobie!

Neet głośno się roześmiał. Stiffy w tym czasie podciął przednie nogi Guzza, i błyskawicznie przygniótł go do ziemi — zostały jeszcze dwie, maksymalnie cztery rundy. Do trzech wygranych. Mart zwycięsko zastukał kopytami.

— I co? A nie mówiłem?

— Spokojnie, jeszcze zdąży go rozłożyć. To co, o co ten zakład? — spytał Neet.

— Jeśli Stiffy wygra, z powrotem zapisujesz się na listę — odpowiedział mu Mart, z szalonym błyskiem w oku.

Neet krótko się zastanowił. Właściwie nie miał nic do stracenia. Udział w zapasach był całkiem przyjemnym zajęciem, ostatnimi czasy nawet mu go brakowało. Z drugiej strony, w ogóle nie obawiał się porażki — nie bez powodu właśnie on, a nie pozostali z jego oddziału, został podporucznikiem.

— Niech będzie — powiedział w końcu. — Za to jeśli Guzz wygra, oddasz mi klucze. Na czas... nieokreślony.

Mart, słysząc słowa przyjaciela, z miejsca wypluł wszystko, co miał jeszcze w ustach. Po jego oczach było jednak widać, że złapał haczyk, a, znając jego pociąg do rywalizacji, można było łatwo przewidzieć, że chętnie spróbuje — co wkrótce potwierdził słowami:

— Psiakrew, idę na to! Patrz, już go kładzie drugi raz. To kwestia paru minut. — Uśmiechnął się władczo. — To co, nad czym tak myślałeś, zanim się dosiadłem? — dodał.

— Właściwie... To myślałem o tej planowanej przez kapitana operacji.

— O, właśnie! Co do tego... — Guzz szybko wepchnął do ust ostatni kęs sałatki, a talerz bez namysłu odrzucił na bok. — Jest jedna sprawa, która mnie nie tyle niepokoi, co raczej po prostu ciekawi. Mianowicie, co, jako przywódcy oddziałów, robią Feralwater i Outer? Przecież wychodzimy naprzeciw gryfom. Czy nie rozsądniej byłoby umieścić na ich stanowiskach pegazy?

— Też się nad tym zastanawiałem — odpowiedział Neet, podziwiając, jak Guzz z finezją zwała przeciwnika z nóg. — Myślę jednak, że nie ma to większego znaczenia. Pomyśl sam: gryfy będą ciągnęły za sobą wielotonowe wozy transportowe. Będą uziemione. Oczywiście, przynajmniej do czasu, ale widziałeś kiedyś taki wóz? Nie tak łatwo zrzucić z siebie uprzęż wielkości kucyka, i to, w dodatku, sztywno powiazaną z trzema innymi.

Mart pokiwał głową w zamyśleniu. Neet wiedział, że jego przyjaciel nie będzie długo zastanawiał się nad tą sprawą. Gdy po jego głosie słychać było, że ma rozeznanie w sytuacji, Mart zawsze zdawał się na jego opinię. Tak było i tym razem.

— Co w takim razie sądzisz o twoim wyróżnieniu? Czyżby komuś tutaj szykowało się mały awans? — zapytał Mart, wyszczerzając zęby.

Tym razem Neet wpadł w małe zamyślenie. Uśmiech momentalnie sam wpelzł na jego mordkę. Ustanowienie go przez kapitana jako dowódcę oddziału z pewnością wiązało się z jakiegoś rodzaju uznaniem. Nie było jednak żadnych podstaw, aby sądzić, że Neet w najbliższej przyszłości awansuje na porucznika. Za mało jeszcze przeszedł, za mało dokonał. Nie, to nie miało sensu.

— Wiesz, jak to jest. Nie powiedziałbym “nie” — odparł po chwili. — Ale jakoś mi się to nie widzi, przynajmniej na razie. Być może kapitan chce się po prostu przekonać, do czego jestem zdolny. Może chce mi dać pole do popisu... Nie wiem. — Oderwał wzrok od areny i spojrzał z uśmiechem na przyjaciela. — A co z tobą? Jak sądzisz, gdybym awansował, kogo zarekomendowałbym na swoje miejsce?

— Pewnie Guzsa. Z wdzięczności, że ocalił cię od hańby tą jedną rundą. O, czekaj... A żeby to...! Dwiema rundami. Ale zobaczysz, teraz Stiffy się odegra — odpowiedział mu Mart. — Kontynuując temat operacji, myślisz, że finalnie rzeczywiście dokądś się wybierzemy? Kapitan tak ni stąd, ni zowąd, bez konkretnej daty... Wszystkich wprowadzamy w sytuację, szykujemy zapasy, a na koniec i tak okazuje się, że tygodniami przygotowywaliśmy się bez celu. Jakoś niespecjalnie mi się to...

Nagle, przy ich stoliku, jak spod ziemi, wyrósł młody kucyk; wnioskując po wyglądzie, zapewne kadet. Jego obecność była tak zaskakująca, że Mart przerwał swoją wypowiedź w pół zdania, a Neet, zdziwiony, wstrzymał oddech. Jednak mimo iż kucyk wyglądał, jakby miał coś ważnego do przekazania, cały czas milczał, jakby oczekując na pozwolenie Neeta. Zaczął, gdy ten ponaglił go kopytem.

— Panie podporuczniku, melduję, że kapitan Brave Courage wzywa pański oddział do niezwłocznego stawienia się na placu defilad.

Guzz po raz trzeci powalił przeciwnika na ziemię; mordka Stiffy'ego z dość ciekawym dźwiękiem przyrznąła w podłogę. Neet spojrzał rozbawiony na przyjaciela.

— I co? — spytał. — Wygrałem. Dawaj klucze.

* * *

— Według mojego zegarka, już zmierzcha, panie gubernatorze. Na nas najwyższa pora — zachichotała jedna z delegatek z Kryształowego Imperium. — Było, jak zawsze, wspaniale. Szkoda tylko, że musimy tak szybko opuszczać to piękne miejsce...

— Tak, zdecydowanie szkoda, prawda, moja droga? — wtrąciła druga. — Obowiązki niestety wzywają, wołają, i nie chcą dać kucykowi spokoju. Sam wie pan najlepiej, jak to jest...

— Otóż to, sam pan wie, niestety... — przerwała jej pierwsza.

Jester rozciągnął się wygodnie na swoim własnym, wykładanym bawełną fotelu, i po raz ostatni chwycił stojący na stole kufel. Przecież był to cydr prosto z samego serca Equestrii! Od ponad pół roku przetrzymywany w magazynie, to prawda, ale wciąż najwyższej jakości. Nie można było pozwolić mu się zmarnować.

— Zdrowie szanownych pań. Jak i całego Kryształowego Imperium! A co mi tam, raz się żyje! — krzyknął Jester wesoło, za jednym zamachem wychylając kufel do dna.

— Jak i pańskie zdrowie, panie gubernatorze! Pańskie, oraz całego Glow Town!

— Tak, tak! I za przyjaźń!

— Dokładnie! Za przyjaźń!

Ostatnie brzdęki opróżnianych naczyń wybrzmiały w akompaniamencie śmiechu i naprzemiennego potwierdzania słów jednej hrabiny przez drugą. Spotkanie dobiegało już końca. Tym razem jednak nie tylko spotkanie; była to ostatnia wizyta dyplomatów w Długiej Sali. Jester chwilami wręcz żałował, że wszystkie delegacje opuszczały już Glow Town. Z kim będzie teraz przekomarzał się całymi dniami, palił cygara, albo chociażby najzwyczajniej w świecie jadł posiłki? Teraz nic już nie będzie tak ciekawe i zabawne; jego życie czekał nieuchronny powrót do szarej codzienności.

Mimo że Jester miał już swoje lata, nigdy nie mógł przyzwycząić się do tego uczucia pustki i beznadziei, które dopadało go za każdym razem, gdy przychodziło do rozstania z jakąkolwiek grupą ciekawych kucyków. I tak rok w rok. W nieskończoność. Do znudzenia.

— Życzę miłym paniom bezpiecznej podróży powrotnej. Jak i dalszego powodzenia w pełnionej przez panie służbie. Przyjemnością było panie poznać!

— I nawzajem, panie gubernatorze, nawzajem! Gdybyśmy tylko mogli zostać na dłużej...

— Tak, gdybyśmy mogli zostać na dłużej! Z pewnością nikt by na tym nie ucierpiał...

— Nikt by nie ucierpiał, ale taki już niestety nasz los, służących ojczyźnie. Żegnamy pana, panie gubernatorze! Prosimy miło wspominać wspólnie spędzone przez nas chwile!

— Właśnie! Za to Jej Wysokość księżniczka Cadance z pewnością będzie uradowana pańskimi miłymi podarkami...

— Jak i poczynionymi przez nasz wspólny wysiłek postępami! Proszę na siebie uważać, panie gubernatorze. Do następnego spotkania!

— Tak, do następnego!

Nawet po tym, jak zamknęły za sobą drzwi, przekrzykujące się między sobą hrabiny były nadzwyczaj donośne. Męczące? Owszem, zdecydowanie były. Ale nie tak męczące, jak monotonia i rutyna życia w jaskiniach.

Jester nie miał ochoty długo przesiadywać w Długiej Sali; teraz, gdy pozostawała pusta, najgłośniejszym było samotność wołającą do niego gdzieś spod podłogi. A może spod stołu? Cóż, wystarczyło tylko wyjść na zewnątrz, a nieznośne hałasy natychmiast ustawały.

— Zapaliłbym sobie... Hej, ty! — krzyknął do stojącego nieopodal drzwi lokaja. — Rusz się, załatw mi jakieś cygaro, ale raz, dwa, nie ociągaj się!

Kucyk, z początku chcący zgrabnie się uklonić, przerwał pokłon w pół ruchu i odbiegł w kierunku centrum miasta. Jester krótko się zastanowił; po chwili, gdy dotarło do niego, że nie ma już na dziś żadnych planów, udał się w tym samym kierunku, co lokaj. Tamten najwyżej znajdzie go gdzieś w okolicy. Gubernator był jedynym pegazem w całych tych przeklętych jaskiniach, jeśli ktoś chciał go odnaleźć, nie mógł mieć z tym problemu.

Idąc w dół wzniesienia, rozglądał się ciągle na prawo i lewo. Czasami spoglądał też w górę, jakby na sklepieniu jaskini mogło być coś przyciągającego uwagę. Jester chciałby móc powiedzieć, że podziwiał po prostu piękno podziemnego miasta. Prawda była jednak o wiele bardziej przygnębiająca. Znał na pamięć każdy zakamarek tej zawszonej dziury. Szukał po prostu choćby jednego szczegółu, będącego innym niż dotychczas. Robił to za każdym razem, kiedy opuszczał swoją kryjówkę, zawsze niestety bezskutecznie.

Latarnie. Wszędzie były latarnie. Latarnia stała w miejscu. Dawała światło. I tak przez całą dobę. Dla Jesterów latarnie nie były niczym innym niż symbolem ogarniającej go monotonii. Nie dało się przed nimi uciec; nie dało się skryć. Przynajmniej jeśli chciało się zachować życie. Tu, setki metrów pod powierzchnią ziemi, latarnie dawały życie. To dzięki nim w jaskiniach dało się cokolwiek hodować. To dzięki nim mieszkające w Glow Town kuczki nie oślepyły do tej pory niczym krety. A mimo to, wciąż były tylko nudnymi, pospolitymi latarniami.

Jester nigdy nie zaakceptował tej nudy. Ba, starał się nawet wypowiedzieć jej otwartą wojnę. On kontra nieubłagana powtarzalność życia. W pewnym momencie był nawet na bardzo dobrej drodze.

Gryfy? Sprowadził. Teren pod kopalnię? Wyznaczył. Starał się o jakikolwiek kontakt z kucykami z zewnątrz? Zaprosił ich. Zaprosił ważnych polityków, naukowców, dyplomatów; nawet ministra z Griffonstone zaprosił, na wypadek, gdyby okazało się, że kucyki to za mało.

Jedynym, kogo nie zapraszał, była ta księżniczka przyjaźni, mulica jej mać. Sama się przypałała, i to jeszcze z pretensjami. Że to nie wolno jej traktować jak podrzędnej dyplomatki. Że nie wolno mu sprzedawać jaskiń gryfom, bo jakieś tam stare coś tam. Brednie. W czym mogłaby jej zaszkodzić sprzedaż jaskiń? Od lat! Od długich lat Equestria miała gdzieś, co dzieje się z Fuzzy Caverns — aż tu nagle bum! Księżniczka przyjaźni, serdecznie witamy w naszych skromnych progach, udław się. Tylko jej tu brakowało. Szkoda tylko, że nawet postawić na swoim porządnie nie umiała...

Szedł szeroką ulicą, mijając po bokach przekrój architektoniczny ostatnich kilku wieków. Aż dziw brał, że niektóre z tych budynków stały do dzisiaj; pewnie było to już tylko kwestią czasu.

Z prawej minął właśnie mieszkanie swojego ulubionego kucharza. Zapewne siedział teraz w środku, i wracał powoli do zdrowia. Złapało go jakieś choróbko, ledwie kilka dni temu. Nic to, byleby szybko wracał do zdrowia.

— Panie gubernatorze! — krzyknął młody kucyk o bujnej grzywie, nadbiegając od strony centrum. — Panie gubernatorze! Zapraszamy na degustację! Marbledough stworzył właśnie zupełnie nowy przepis na koktajl zbożowy! Mówię panu, panie gubernatorze, kopyta lizać! A jak te kłosa łaskoczą podniebienie... W tę stronę, skreśli pan w prawo, i już pan będzie na miejscu!

Kucyk zniknął tam, skąd się pojawił, a gubernator skrzywił się pod nosem. Marbledough. Cóż za nijakie imię. Jester nie znosił długich, wieloczłonowych imion. Gdyby sam porwał się kiedykolwiek na tę głupotę, zwaną rodzicielstwem, najdłuższym imieniem, jakie nadałby dziecku, byłoby coś w rodzaju "Chucka", czy innego "Masha". Takie natręctwo, co poradzić. W każdym razie, zapraszali go na degustację. Grzechem byłoby więc nie skorzystać.

Młody kucyk wskazał mu drogę do kawiarni, chociaż i tak nie było takiej potrzeby. Jester znał topografię Glow Town na pamięć; wiedział dokładnie, gdzie znajduje się każdy publiczny lokal, gdzie mieszkają ważne dla niego kucyki; jak również, których miejsc powinien unikać. W mieście nie było takich wiele, lepiej jednak zawsze mieć się na baczności.

W kawiarni Marbledougha zebrała się już całkiem pokaźna grupa mieszkańców, zapewne z tych mieszkających najbliżej. Wszyscy mieli ochotę skosztować, co też znany w okolicy cukiernik przyrządził. Kilkoro z najbliższych, widząc gubernatora, skinęło głową, lub jeśli był to ktoś mu bliższy, machnął mu kopytem. Wszyscy jednak, co do jednego, zgadzali

się, że Jester, jako ich światowy reprezentant, powinien otrzymać swoją porcję jako pierwszy.

— Dzień dobry, panie gubernatorze!

— Och, pan gubernator! Proszę, pan przodem...

— Toż to Jester! Cha, cha! Idź, ty pierwszy! Jeśli już mają nas wszystkich wytruć, niech chociaż zaczną od głowy, dobrze mówię? Cha, cha, cha!

Nie mając nic do powiedzenia, Jester przepchnął się przez grupkę kucyków aż do lady, za którą, za pomocą magii, jednorożec w fartuchu rozlewał koktajl do kolejnych szklanek. Widząc gubernatora, uśmiechnął się szczerze i przybrał służbistą postawę.

— Dzień dobry, panie gubernatorze! Marbledough, do usług! — powiedział pospiesznie. — Pierwszy koktajl, oczywiście, dla pana. Już podaję. Polecam pić powoli, acz nie trzymać w ustach zbyt długo...

Pierwsza, honorowa szklanka napoju, wylądowała na samym środku lady. Jester wpatrzył się w spienioną konsystencję, szukając w koktajlu owych szumnie zapowiadanych kłosów. Istotnie, były tam. Wzruszył ramionami, unosząc kącik ust do góry. Wygląda pysznie, pora spróbować, czy rzeczywiście taki jest. Czuł już to napięcie spoglądających na niego kucyków. Wszyscy czekali tylko na niego, ciekawi jego zdania. Wszyscy wzięli głęboki wdech, gdy szklanka uniosła się do góry...

— ...dworca dwanaście godzin. Niezły wynik panowie, niezły. Chyba wam po orderze...

— Panie poruczniku! Tu go mamy!

Zwrot. Zebrani w kawiarni jak na sygnał obrócili się ku drzwiom wejściowym. Stał w nich drobny, odziany w wojskowy mundur, pegaz. Wskazywał kopytem Jesterą.

— Więc to tu się schował nasz mały gubernator — powiedział jakiś inny, przeciągając paskudnie słowo "gubernator". — Sprawdźmy, czy rzeczywiście taki chytry, jak mówił Brave.

W drzwiach pojawił się następny kucyk w mundurze. A za nim kolejny. I jeszcze jeden. Przez nieznośnie długą chwilę w kawiarni panowała grobowa cisza. Przerywał ją tylko dźwięk kapiącego na podłogę koktajlu; Marbledough był tak zaskoczony najściem żołnierzy, że aż zapomniał o trzymanym przez siebie dzbanku. Niepokój dotknął także pozostałe z zebranych w kawiarni kucyków. Ktoś zaczął szemrać, ktoś szeptał coś do stojących obok.

— A to? Co to za zbieranina? — spytał ostatni z żołnierzy: masywny, czarny kucyk, o złowieszczym uśmiechu. Rozejrzył się po kawiarni, aż znalazł Jesterą, do którego przykuł wzrok. — O, tu cię mam. Co jest, zbierasz armię, czy co? Rozejść się! — rozkazał, rozglądając się po pomieszczeniu.

Nikt nie śmiał się ruszyć. Zamiast tego, odgłos szemrania przybrał na sile. Z mordki żołnierza w jednym momencie spłynął uśmiech, a w jego miejsce pojawiła bezgraniczna furia.

— ZAMKNAĆ MORDY! RUSZAĆ SIĘ! BANDA PARSZYWYCH KUNDLI!

Krzyk nie odniósł zamierzonego efektu. Zebrane w kawiarni kucyki przybrały groźne miny, zbliżając się do Jester, i zaopatrując w cokolwiek, co tylko mogło posłużyć im za broń. Do Marbledougha też najwyraźniej dotarło w końcu, co właściwie się dzieje. Zebrał się na odwagę, i wyrzucił z siebie szybkimi słowami:

— O co chodzi? Dlaczego przerywają panowie degustację...

— Dlaczego? Powiem ci, dlaczego. Ten kucyk tutaj... — żołnierz wskazał kopytem na Jester — ...bo słyszałem, że więcej pegazów u was nie ma, jest skazany na śmierć. A ja, w imieniu księżniczki, osobiście zamierzam dopilnować, żeby wyrok został wykonany. I ostrzegam, że wszyscy, którzy spróbują mi w tym przeszkodzić, skończą podobnie. Wszystko jasne? TO RUSZAĆ ZADY!!!

Na początku Jester miał ochotę głośno i kpiarsko się roześmiać. W jednym, ostatnim, podłym żarcie wyśmiać wszystko, co mu na myśl przychodziło.

Groźących mu żołnierzy. Księżniczkę Twilight. Zbożowy koktajl. Cygaro, którego nigdy już nie wypali. Całe swoje cholerne życie.

Ale wiecie co, kucyki? Jester lubił to miasto. Lubiał te zapomniane przez świat jaskinie; lubił was, wasze starania i żale. Marbledougha też lubił. Jego i jego kawiarnię, którą odwiedzał jeszcze na długo przed tym, jak cukiernik przejął ją na własność. Nawet jeśli na co dzień potrafił być przykrym, cynicznym gburem, nigdy nie miał na celu niczego złego. Pamiętajcie o tym, gdy go wśród was zabraknie.

Był już gotów; z tym nudnym, i w całości przeżyтым życiem nie łączyło go już nic istotnego. Czy po drugiej stronie czeka nowe? Czy też może wieczna nieświadomość i pustka? Był gotów sprawdzić to w każdej chwili.

Ale jeśli miał odejść, to z hukiem.

— Co jest, kuce? Na co czekacie? — spytał spokojnym głosem. — Grozili nam. Do piachu z nimi.

— Chyba ci...

Porucznik dostał po głowie krzesłem; głos ugrzązł mu w gardle.

Rozpętał się chaos — kucyki rzucały, miotały, czym się dało, krzesła, doniczki, naczynia, nazbierane zawczasu kamienie; a jak zajadle bili i gryźli! Bestie, nie kuce! Żołnierze nie pozostawiali dłużni — ale ilu ich było przeciwko takiej sile! Jeden z tutejszych leżał już na podłodze, krew mu leciała z pyska; kolejny dostał! Cholera! Lejcie ich po mordzie, rzeźników! Oprawców! Tak!!! O to chodzi!!! O! Kolejnemu rozwlekli mundur! Dobrze! Psiakrew, żyjesz?! Wał do niego! Mordercy! Plugawi zbrodniarze! Jester! Na ty! Co? Gdzie?! Zabij go! Aaach!!! Boli!!! Zatrzymajcie sukinsyna! Kolejny dostał; kamień; stój! Na ziemię! Uważaj, leci!!!! Tutaj! Wchodź! Stul pysk! Uciekaj!!!

Uciekał ciemnymi korytarzami, uderzył w ścianę; podniósł się, biegł dalej; nie zatrzymuj się! Przecież znał tę drogę, całe dzieciństwo... Nie tutaj... Tutaj! Szlag by to! Gonia go! Zgubić! O, właśnie! Teraz mogą sobie krążyć do usranej śmierci... Gdzie to wyjście... Gdzieś niedaleko... Czekaj... To światło?

Wielki konwój; dwieście, trzysta kucyków... Kucyków? A gdzieżby tam... Gryfy? Tak, to gryfy... Ocalenie?

— Jester? Skąd ty się tu wziąłeś? Coś ty robił, że taki ubłocony?

Tak, ocalenie.